Cena 60 groszy Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

WOLNOMYŚLICIEL POLSKI



DWUTYGODNIK

ROK 5 WARSZAWA — 1932 — 1 SIERPNIA NUMER 15

REDAGUJE KOMITET

Zagadnienie postępu

„Powiedz „tak“, lub zaprzecz,
A nic się przez to w tem, jak jest, nie zmieni...“

Nie od dziś toczy się spór o to, czy postęp wogóle istnieje. Są bowiem ludzie, którym bardzo na tem zależy, aby nie istniał nawet jako termin, a zwłaszcza jako pojęcie. Są to ci sami, którym bardzo również zależy na tem, aby przestała istnieć i teorja rozwoju i teorja descendencji (pochodzenia gatunków jednych z drugich). I to już nie jako termin, lecz jako prawo przyrodnicze i jako pogląd na świat. Teorja ta, jak wiemy, przysporzyła klerowi nielada kłopotów, jakich nie miał od czasu odkrycia Kopernika. Doszło bowiem do tego, że kler zaczął pewnego dnia wstydzić się wobec ludzi inteligentniejszych swojej „wiedzy objawionej“ o nieruchomej płaskiej ziemi i stałości gatunków, a biblijną powiastkę o stworzeniu świata z niczego przed sześcioma tysiącami lat zachował tylko dla najbiedniejszych duchem. Nie mówi też kler już dzisiaj inteligentniejszym swoim słuchaczom ani o niebie, ani o piekle, o tym — jak powiada ks. Charszewski — „Sybirze, katordze i galerach kościoła“, bo inaczej niktby przy bogu nie został (zob. W. P. № 27 z r. ub. str. 710). Doktryna tedy o życiu pozagrobowem jest, jak wynika ze słów ks. Charszewskiego, tylko straszakiem, tylko fikcyjnym zmyślonym batogiem, zapędzającym ludzi do kościoła, gdzie ich zaświatowcy mają ostatecznie „wykończyć“ przy pomocy ambony i konfesjonału. Jak widzimy, gadatliwy ks. Charszewski postawił kwestję piekła zupełnie jasno, czyli tak, jak my ją stawiamy. Wobec tego upada

również kwestja „nieba“, jako miejsca nieistniejącego, bo w znanej metodzie wychowawczej kościoła papieskiego, opartej na systemie kar i nagród, nie może być niebieskiej „przynęty“, skoro niema piekielnego kańczuga, „galer“ i „Sybiru“.

Otóż, czy takie szczere publiczne przyznanie się ks. Charszewskiego, że świadomie kłamie, mówiąc, iż piekło jest i że, głosząc doktrynę o piekle i życiu pozagrobowem, kościół jego kłamie również — mamy uważać za postęp? Niewątpliwie tak. A jednak ks. Charszewski dałby zapewne wiele, aby postępu — zwłaszcza w nauce — nie było, bo postęp w nauce wywołuje (choć nie u wszystkich) postęp w życiu i w pojęciach.

Aby jednak naszym przeciwnikom, pracującym tylko dla siebie w znanej starej firmie p. n. „Zaświat, spółka konkordatowo-tonsurowa z nieograniczonemi możliwościami, a bez żadnej poręki“ [1]), czemś się wywdzięczyć za otwartość ks. Charszewskiego — oświadczamy na wstępie, iż nie myślimy kruszyć kopij o to, czy postęp istnieje, czy nie istnieje (szczegóły niżej). Zwłaszcza, że ze słowem „postęp“ wiąże się też pojęcie stopniowego, coraz wyższego doskonalenia się człowieka pod względem moralnym, czego znów tak bardzo nie widać, pomimo, że ktoś, kto się uważa za „posiadacza skarbów wychowawczych nieskończonej wartości“ i był przez prawie dwa tysiące lat jedynym wychowawcą ludów Europy, mógłby tu być znowu pociągnięty do odpowiedzialności za fatalne wypełnienie swoich obowiązków wychowawczych, zleconych mu z bardzo wysokiej strony. Kwestji pobranej w tym czasie gotówki za te źle wypełnione obowiązki wychowawcze narazie nie poruszamy.

---

[1]) My pracujemy tylko dla innych pod skromnem hasłem BEZ POŚREDNIKÓW! WSZYSTKO ZA ŻYCIA! Zgodnie z tem hasłem nie chrzcimy, nie obrzezujemy, nie dajemy ślubów, nie unieważniamy sakramentów za drogie pieniądze, nie namaszczamy olejami, nikomu nie kadzimy, nie maglujemy trupów, nie sprzedajemy na swój dochód ziemi na cmentarzach, stanowiących własność gminną, nie błogosławimy nikogo, ani też nikogo nie wyklinamy, nie zapewniamy nikogo autorytatywnie o istnieniu rzeczy nieistniejących, nie każemy sobie wierzyć na słowo, nie zbieramy pieniędzy na budowę kościołów i plebanij, nie ogłaszamy krucjat, nie tworzymy gmin bezwyznaniowych ani hierarchji, nie sprzeciwiamy się wprowadzaniu przez państwo ułatwiających i laicyzujących życie ustaw, nie jesteśmy zainteresowani w ciemnocie mas, nie żądamy od państwa dożywotnich pensyj i emerytur, nie zabieramy cudzych kościołów... Natomiast potępiamy wojnę i karę śmierci, zwalczamy uznane i nieuznane przesądy, głosimy wolność sumienia i wyznania, jesteśmy za rozdziałem kościoła od państwa, za tolerancją, za zaprowadzeniem cmentarzy gminnych i krematorjów, domagamy się wyrzucenia religji ze szkół publicznych i niezmuszania dzieci do wdrażania się w nałogi religijne... A przedewszystkiem staramy się wyzwalać ludzi z zaświatowych fikcyj i omamów i ułatwiamy im przechodzenie do bezwyznaniowości, aby mogli stać się ludźmi wolnymi, nielękającymi się ani kar, ani sądów pośmiertnych, i stuprocentowymi obywatelami polskimi, znającymi swoje prawa i obowiązki.

Wróćmy jednak do sprawy, wymienionej w tytule.

Wyszła ostatnio niewielka 32-stronicowa broszura Bogdana Suchodolskiego p. t. „Idea postępu“, wydana przez Stowarzyszenie chrześcijańsko-narodowego (endeckiego, uw. n.) nauczycielstwa szkół powszechnych (Dom Książki Polskiej, cena zł. 1.50), którą chcemy się zająć ze względu na poruszone zagadnienie. Uważamy się za uprawnionych do tego choćby z tego względu, że pojęcie postępu wiąże się z wszelkiemi poczynaniami społecznemi (właściwie innych niema), mającemi na celu przeprowadzenie pewnych zmian w istniejących w danej chwili stosunkach politycznych, ekonomicznych, społecznych, wychowawczych, estetycznych, wyznaniowych, moralnych i t. p., i jako takie wiąże się również i z naszym ruchem, jako ruchem społecznym.

Dążenie do tych zmian zjawia się wówczas, gdy w pewnem zbiorowisku ludzkiem znajdzie się pewna grupa osób, chcących czyto z pobudek ideowych, czy poprostu dla zwykłej korzyści materjalnej zaprowadzić taki „ład“ prawny, któryby jednym umożliwił wprowadzenie zamierzonych reform społecznych, a drugim legalne sięganie po spodziewane korzyści. W jednym i w drugim wypadku mamy do czynienia z świadomem dążeniem, z dążeniem, opartem na pewnym planie, na planie przemyślanym i celowym.

Jak wiemy, wszelkie dążenia ku lepszemu i możność wpływania na zmianę swego środowiska jest właściwe tylko człowiekowi, jako istocie stawiającej sobie pewne cele i mającej ideały. Tylko istota ludzka, o ile wiemy, jest do tego zdolna i to istota myśląca, a zwłaszcza przewidująca. Im tedy zbiorowiska ludzkie są inteligentniejsze i dalej posunięte w rozwoju umysłowym i cywilizacyjnym, dążenia do zmian w istniejących porządkach rzeczy zjawiają się coraz częściej, a reformy zachodzą w nich w coraz krótszych odstępach czasu. Tylko u ludów pierwotnych, stojących na bardzo niskim stopniu rozwoju cywilizacyjnego nic się stuleciami i tysiącoleciami nie zmienia i nic nie „postępuje“.

Gdy dążenie ku lepszemu wychodzi z łona ludzi, pragnących zmian i reform jedynie z pobudek szlachetnych i ideowych, ma ono zwykle na celu dobro i szczęście tych, którym dany ustrój nie zapewnia odpowiednich warunków rozwoju, krzywdzi ich i ogranicza w prawach. Są to zazwyczaj dążenia „postępowe“, bo usiłujące wyjść poza stan obecny i wprowadzić w życie coś, czego przedtem nie było. Są to dążenia, które prądom społecznym drążą nowe łożyska i posuwają naprzód koła historji. Dążenia zaś, podszyte kastowym, stanowym, czy klasowym interesem, zmierzają do czegoś wręcz przeciwnego: do zapewnienia swojej kaście, stanowi, czy klasie jak największej korzyści bez oglądania się na resztę i kosztem tej reszty, a tem samem do uwsteczniania prądu dziejowego. Jedni jednak i drudzy dążą do „zmiany na lepsze“, a więc: do czegoś, co ma w ich pojęciu

być „postępem" w stosunku do tego, co jest. Realizacja tych dążeń zależna od okoliczności i sił, jakiemi każdy z tych obozów rozporządza oraz ocena etyczna pobudek, skłaniających jednych i drugich do tych zmian — może nas w tej chwili nie interesować.

Otóż postęp tak rozumiany niewątpliwie istnieje.

Ponieważ jednak ocena etyczna przewrotów społecznych jest dość skomplikowana, a niekiedy niemożliwa, nie każdy przewrót i nie każdą reformę społeczną da się zakwalifikować z całą ścisłością jako „postęp ku lepszemu." Bywają bowiem przewroty i „łady" prawne o charakterze wstecznym, reakcyjnym w stosunku do tego, co już było. Np. restauracja Burbonów, likwidująca nietyle I-sze ceasarstwo, co zdobycze I-ej republiki francuskiej tudzież prawo małżeńskie z r. 1836 w stosunku do prawa małżeńskiego z r. 1808 lub z 1825, były posunięciami — przynajmniej z naszego stanowiska — reakcyjnemi, ale nie były takiemi dla monarchistów i ultramontanów (klerykałów), których wprawiły w zachwyt niebywały.

To samo odnosi się i do zdobyczy naukowych i technicznych. Tu jednak są już poważniejsze zastrzeżenia, bo te zdobycze mogą z jednej strony ułatwiać człowiekowi życie, a z drugiej być obracane przeciw niemu. Tak czy inaczej, zawsze znajdzie się ktoś, kto z nich będzie zadowolony. I dla tego, kto z nich będzie zadowolony — będą one stanowiły zdobycz prawdziwie postępową. Tu, jak i we wszystkiem niemal — korzyść staje się oceną wartości.

To też może słuszniejszem będzie nazwać odkrycia naukowe i wynalazki techniczne „rozwojem", zamiast „postępem." Ponieważ reformy społeczne, o których wyżej była mowa, też mogą być (i są) z różnych stron oceniane, gdyż każda reforma dla jednych bywa dobra, a dla innych zła [2])— można zrezygnować wogóle z terminu „postęp", a nawet z terminu „rozwój," a zastąpić te dwa terminy „zmianą," wzgl. „zmiennością," na co obie strony muszą się zgodzić niewątpliwie, choćby się nawet nie godziły na sam charakter zaszłej w ustrojach lub w wynalazkach zmiany. W słowie „zmiana" nie mieści się bowiem, ani pojęcie dobra (lub zła), ani pojęcie „posuwania sie naprzód" jak w słowie „postęp", ani też pojęcia, zgóry wytkniętego kierunku i celu, jak w terminie „rozwój."

Zamiast upierać się przy „postępie," wystarczy nam stwierdzenie faktu, że zgodnie z kinetyczną teorją materji — i w dziejach, i w nauce, i w wynalazkach, i w kulturze, i w cywilizacji, i w poję-

---

[2]) Projekt prawa małżeńskiego opracowany przez Komisję Kodyfikacyjną jest wg. naszego zdania — postępowym w stosunku do prawa małżeńskiego z r. 1836, a wstecznym w stosunku do prawa niemieckiego z r. 1870, obowiązującego dotąd w b. zaborze pruskim.

ciach, a przedewszystkiem w naturze wszystko jest w ruchu, wszystko się zmienia, „wszystko płynie," jak płynęło zawsze, tudzież że wszystko jest względne i że wszystko, co się zaczęło w czasie musi się również w czasie skończyć i to nietylko religja, ale nawet i katolicyzm wraz z jego rzekomo przez boga ustanowioną hierarchją i światowładczemi uroszczeniami. I co dziwniejsza, że skończy się bez najmniejszej interwencji „bram piekieł" (które wg. ks. Charszewskiego nie istnieją), lecz tylko drogą odpowiedniej zmiany pojęć t. zw. religijnych na naukowe.

Przystąpmy teraz do samej broszury, aby się przekonać jakie to „postęp" ma „grzechy pierworodne" i „uczynkowe" na sumieniu, za które został przez obóz ks. Charszewskiego skazany na wieczne „potępienie."

Autor dowodzi, że idea postępu zbankrutowała, acz przyniosła światu tyle oczywistych i niewątpliwych zdobyczy cywilizacyjnych i kulturalnych. A miała zbankrutować m. in. dlatego, że „związana była z wiarą w wartość i skuteczność samodzielnego urządzenia się człowieka na ziemi (str. 29)." To bankructwo budzi w autorze „lęk i niepokój", choć raczej powinno go cieszyć. Nie widzi wyjścia. Radby nawrócić do średniowiecza. Bo tak, jak dziś rzeczy stoją, „poza przyrodą i kulturą — pisze na str. 30 — nic już niema więcej. Moralność nie jest przejawem wiecznych, ponadhistorycznych, ponadludzkich praw: jest wytworem kultury. Religja — jak słyszymy często — jest też tworem człowieka, rozwijającym się w dziejach". Autor chciałby, aby to wszystko było „ponadludzkie", czyli poprostu boskie, a człowieka mogłoby wówczas wcale nie być na świecie, bo jakiż sens byłby wtedy jego istnienia? Chyba ten, jaki był w średniowieczu: chwalenie pana boga i utrzymywanie kleru.

Autor powiada: „człowiek religijny wie, iż poza naturą i kulturą jest Bóg."

Przedewszystkiem człowiek religijny nigdy niczego nie wie z tego, co mu kościół do wierzenia podaje. Dlatego każdy człowiek wierzący tyle ma wątpliwości i obaw, które zagłusza modlitwą i ślepem wypełnianiem praktyk religijnych. Nie wie on też również i tego, że jest bóg. On nawet tego wiedzieć nie może, bo gołosłowne twierdzenie: „bóg jest" — to dogmat, a dogmaty są niepoznawalne: są „tajemnicami wiary". Człowiekowi religijnemu, pozostającemu od najmłodszych lat pod sugestją katechizmowych pewników, tylko się zdaje, że coś wie w tej materji. Ale to złudzenie! Bo pewniki teologji nie mają nic wspólnego z pewnikami matematycznemi czy przyrodniczemi. Te ostatnie są oparte na doświadczeniu, powielokroć sprawdzonem i zawsze dającem się sprawdzić, gdy pierwsze są tylko zapewnieniami, czynionemi na słowo honoru ze strony ludzi,

którzy honoru nie mają. Odmawiamy bowiem honoru ludziom, podających się za nieomylników — wszystko jedno w jakiej dziedzinie — i każących się uważać za posiadaczy prawdy bezwzględnej, za niewzruszone powagi, bo są to w naszych oczach tylko zuchwali, czelni oszuści, całkowicie swego oszustwa świadomi, mydlący ludziom naiwnym oczy rzekomemi „tajemnicami wiary" celem ordynarnego wykorzystania ich dobrej wiary.

Natomiast człowiek bezreligijny wie — i to wie napewno — że t. z. boga stworzyli jego napoły dzicy, ciemni przodkowie i że poza naturą, której człowiek jest cząstką i poza kulturą, będącą dziełem człowieka, niema nic. Autor uważa jednak, że „trzeba odnaleźć nowe rękojmie", „uratować wiarę w wartość i sens ludzkiego życia" i dalej prowadzić pracę dla przyszłych pokoleń, jak to czynił postęp. Autor nie wierzy w kulturę, bo wymaga to wiary w postęp, a on w postęp wierzyć nie może, bo powiada, że „wyczuwamy(?) jeszcze, poza kulturą, byt tajemniczy, nieznany, cudzy". „Kultura — pisze dalej — jest owocem naszej słabości(!), a nie tworem naszej potęgi". To samo jest z nauką, która „istnieje tylko dlatego, że nie jest nam dane poznanie prawdy." „Gdybyśmy posiedli prawdę — nie potrzebowalibyśmy nauki. W oczach przenikającego prawdę Boga — cały nasz trud poznawczy jest igraszką słabości..." Jest to rozumowanie, utrzymane całkowicie na poziomie przysłowiowego zwrotu: „gdyby ciocia miała wąsy, to byłby wujaszek". Autor, jak widzimy, chciałby wszystko otrzymać w formie gotowej. Ot, poprostu: „stoliczku nakryj się!" Jednem słowem, jak w bajeczce dla grzecznych dzieci. Dla umysłów tego pokroju postęp oczywiście jest niepotrzebny. Bo i po co? Wystarczy „cud", będący posłusznym wykonawcą zachcianek rozkapryszonego ludzkiego dziecka. Postęp — to trud. A pełnoletnim dzieciakom, śniącym o „tajemniczych, nieznanych, cudzych bytach". dogadzać może tylko jak największa myślowa i mięśniowa łatwizna.

Możemy jednak uspokoić autora zapewnieniem, że „twórcza siła, porywająca jednostki do pełnego życia i ucząca je zarazem współżyć ze sobą" (str. 32) będzie nadal robiła swoje, bez względu na to, czy nasze sądy przyjmą czy odrzucą ideę postępu. Bo świat i jego prawa zarówno fizyczne, jak i t. zw. psychiczne (choć jest to jedno i to samo) są i działają niezależnie od tego, co o nich myślimy i jak się na nie zapatrujemy. To też odrzucenie przez kogoś idei postępu, nic temu postępowi nie zaszkodzi, jeżeli on istnieje naprawdę; a „świat pójdzie swoją drogą". Więc poco sie lękać i niepokoić o rzeczy od nas niezależne? Autor powiada na str. 4, że „świat starożytny nie znał idei postępu". A czyż mimo to nic się na świecie nie zmieniło od owych czasów? „Świat starożytny, powiada autor, żył legendą o złotym wieku, istniejącym rzekomo na początku

rozwoju świata, legendą, którą odziedziczyła Europa w spadku po starożytności. Żyła więc starożytność wymarzonym ideałem przeszłości i do tego ideału starała się dopasowywać i dociągać przeżywaną rzeczywistość". Oczywiście nie dociągnęła, bo bieg dziejów jest zjawiskiem nieodwracalnem. Szukała jednak zmiany zgodnie z rodzącemi się w jego łonie potrzebami i pragnieniami i mimo woli służyła idei postępu, choć tej idei w świadomości swojej nie posiadała.

A jakiż z tego wszystkiego wniosek? Oto ten, że ludzkość dąży, działa, tworzy, zdobywa, poznaje, pragnie zmiany tego, co jest — oczywiście zmiany na lepsze według swego ludzkiego rozumienia. A dlaczego to robi? bo niezależnie od tego, czy uznaje ideę postępu, czy też jej nie uznaje, nie czuje się z żadnej swojej rzeczywistości zadowolona, bo stale pragnie szczęścia i ten głód szczęścia odczuwa niemniej silnie, niż głód fizyczny — i to pod każdą szerokością geograficzną i w każdej epoce dziejowej.

Pragnienie szczęścia — pojmowanego oczywiście bardzo rozmaicie w zależności od warunków, od okoliczności, od stopnia rozwoju umysłowego i moralnego — to siła rozpędowa życia, zarówno jednostek, jak i całych społeczeństw. Nie pozwala nam ono ustać w pogoni za sobą. Przerzuca nas z miejsca na miejsce. Każe nie liczyć się z niebezpieczeństwami. Jest naszą odwagą, naszym zapałem do życia, bo jest silniejsze, niż wrodzona wszystkiemu, co żyje, obawa śmierci. Co więcej! kusi się ono o przezwyciężenie samej śmierci, łudząc nas mirażem wiecznego trwania za grobem.

Życiu, wytworzonemu przez głód szczęścia, nadają formy i kierunek rozwojowy idee — owe lotne i nieuchwytne twory ludzkiej myśli, jedynej rzeczy, która w nas jest wolną — i to tylko — powiedzmy — względnie wolną, gdyż i myśli nasze są w dużym stopniu zależne od wpływów społecznych, przedewszystkiem: od języka, bez którego nie można myśleć i od wszczepionych nam w dzieciństwie form myślenia (nałogów myślowych), czyli od najbliższego naszego otoczenia: od społeczeństwa[2]). Wolną myśl posiada tylko ten, kto zdoła przezwyciężyć w sobie odziedziczone nałogi myślowe i ma siłę i odwagę przeciwstawić pojęciom swego otoczenia poglądy własne, zdobyte niezależną pracą umysłową, i wg. tych poglądów żyć i postępować. Bo i o tem należy pamiętać, że nietylko nasze czyny, ale i nasze myśli mają wyłącznie charakter społeczny, choćbyśmy nawet uważali, że tak nie jest.

O wartości wszakże naszego życia decydują nie idee, powstałe z swobodnej gry naszej myśli, ani też stwo-

---

[2]) Kto się bliżej tą sprawą interesuje niech przeczyta w „Systemie socjologji" L. Gumplowicza rozdział „Jednostka i grupa", a w „Myślach o myśleniu" R. Radziwiłłowicza (1921) rozdział ostatni i stronice 25—29.

rzone przez nie formy rozwoju dziejowego, lecz suma dobra, wyświadczonego innym, czyli tego, ci co inni uznali za dobre dla siebie, a nie dobra w naszem li tylko pojęciu, bo to mogłoby wcale nie być dobrem w sensie społecznym.

Jasną jest tedy rzeczą, że idee postępu można z lekkiem sercem odrzucić całkowicie, a zastąpić ją stwierdzonym co dnia doświadczalnie w nas i w innych głodem szczęścia, kształtującym dzieje ludzkie i tworzącym naszą cywilizację i kulturę. I dlatego ani dzieje ludzkie, ani cywilizacja, ani kultura, ani nauka, choć ma być ona wg. autora, dowodem naszej słabości, nie mogą być charakteru ponadludzkiego, lecz tylko ludzkiego. I dobrze jest, że tak jest.

Pragnąc szczęścia, człowiek tem samem wierzy w siebie i wierzy w wartość i sens ludzkiego życia. Nie ma więc obawy, aby „homo faber" (człowiek rzemieślik, człowiek wytwarzający) miał kiedykolwiek przestać tworzyć i wytwarzać czy to wartości materjalne, czy kulturalne. Zrozumiał on nie od dziś, że i religja jest jego tworem, kształtowanym przez dzieje, a badań naukowych nie uważa za dowód swej słabości, lecz przeciwnie: za poczucie swej tytanicznej mocy, która takiemu kolosowi, jak wszechświat wydziera jedną tajemnicę po drugiej i rozkoszuje się osiągniętemi zdobyczami. „Homo faber" nie jest pesymistą w rodzaju autora omawianej broszury; on nie marzy o prawdzie gotowej. Co więcej: on ją odrzuca, jak Natan-Mędrzec Lessinga, a woli dążenie do niej, bo wie, że to, co zdobędzie, będzie jego własnością i zasługą, a nie łaską „przenikającego prawdę Boga".

I jeszcze jedno. Autor powiada, że „myśl współczesna zwraca się do średniowiecza z coraz większem zainteresowaniem i czcią" (str. 7). Nie mówi jednak, jaką to „myśl współczesną" ma na myśli. Są to zapewne scholastycy naszych wydziałów teologicznych lub niektórzy członkowie Stow. chrześcijańsko-narodowych nauczycieli szkół powszechnych w Polsce. Ale to wcale nie jest jeszcze „myślą współczesną". Co do nas—wcale tego zainteresowania nie odczuwamy. Przeciwnie, uważamy średniowiecze za coś, czego ludzkość będzie się jeszcze długie wieki wstydziła i do czego nigdy już nie wróci, jeżeli „homo faber" ma pozostać wierny sobie. Charakteryzując średniowiecze, autor powiada, że „żyło ono ideą opatrzności", że „uznawało, iż z woli Boga dzieje się wszystko na świecie", że „ludzka natura jest zepsuta, słaba i zła, do czynów dobrych niezdolna", że „nękana poczuciem tej niemocy ludzkość błagała Boga o łaskę i pomoc..." Jakto? wiec to miałoby być ideałem i „czcią" „myśli współczesnej?" Autor sam przyznaje, że tego rodzaju idee „wpływały hamująco na ufność człowieka do samego siebie i własnych dzieł". Hamująco? to za mało. To był zastój! To była gnuśna bezczynność, która na lat tysiąc sparaliżowała i wstrzymała postęp świata i przez to cofnęła

go wstecz o parę wieków w rozwoju! To było zabicie człowieka w człowieku, który pod działaniem idei opatrzności stracił wiarę w samego siebie, zszedł do rzędu zwierząt pociągowych, nieodczuwających żadnych dążeń w kierunku polepszenia swego losu i niczego niebędących w stanie przedsięwziąć, aby się wyzwolić z nałożonego na kark jarzma! Średniowiecze to był egzamin praktyczny zdany przez tak zw. zaświatowość, a zdany z jak najfatalniejszym wynikiem. Dziś jeszcze apologeci (pochwalacze) średniowiecza powołują się na to, że średniowiecze wpłynęło na moralne udoskonalenie człowieka. Ale mówiąc to, wiedzą, że kłamią. To nie była moralność, to była cuchnąca kloaka zbrodni, nędzy, ucisku, fałszerstw w rodzaju Donatio Constantini i Izydorjańskich dekretalij, brudu, (wszy jako „boże perełki"), ciemnoty, zboczeń i rozpusty, w której trzymały prym klasztory i dwory papieskie. Nigdy człowiek tak nisko nie upadł i nigdy nie był tak pohańbiony i wyzuty z ludzkiej godności, jak w średniowieczu, jak za czasów krucjat, pielgrzymek, biczowników, inkwizycyjnych stosów i procesów czarownic. A upadł ten człowiek choćby przez to, że stracił wiarę w samego siebie, że wyrzekł się wszelkiej pracy dla dobra przyszłych pokoleń i w swej bezradnej ciemnocie nie widział wyjścia ze swego położenia. Zato papieże trzęśli światem!

Tę ideę pracy dla przyszłości dała światu dopiero idea postępu, dziecię Odrodzenia, dojrzałe w Wieku Oświecenia, a doszłe lat męskich w naszych czasach. Średniowiecze żyło fikcjami takiemi, jak zbawienie duszy i dla tego zbawienia duszy chciało zniszczyć ciało, rzekome jej siedlisko. Był to obłęd, z którego ludzkość wyrwało dopiero Odrodzenie, rozkochane w życiu, w klasycznem pięknie ciała i w twórczej radości działania. Dlatego ludzkość nie wróci nigdy ani do scholastyki Tomasza z Akwinu, ani nawet do scholastyki Hegla. Rozwinięty w niej silnie zmysł praktyczny będzie ją odtąd zawsze napawał odrazą i wstrętem do rzeczy czczych, jałowych i pustych. A że tam ten lub ów z przemęczonych członków Stow. chrześcijańsko-narodowych nauczycieli szkół powszechnych westchnie sobie od czasu do czasu do średniowiecznego „dolce far niente"[3]) i powie sobie, że postępu niema, to ostatecznie nie jest groźne.

Ludzkość będzie dalej robiła swoje, b o m u s i i wie, że „w głodach swych swe dzieje nosi".

Teraz wiemy już, co to za typy psychiczne głoszą bankructwo postępu: są to trutnie w ulu społecznym, które chciałyby bez żadnego osobistego wysiłku otrzymywać z rąk opatrzności wszystko gotowe. A zakasać rękawy! badać, tworzyć, ulepszać i przekształcać naturę na wartości kulturalne,

[3]) Czytaj: „Dolcze far niente" — słodkie próżniactwo.

które były, są i będą tylko własnością człowieka. Wreszcie należy mimo wszystko z tem się pogodzić, że poza naturą i kulturą niema nic — żadnych bytów fikcyjnych, „tajemniczych, nieznanych, cudzych“. Komu zaś brak wiary w samego siebie, niech przynajmniej wierzy w innych, którzy nie zakładają rąk bezczynnie i nie czynią z siebie cierpiętników, wzdychających do włosiennicy.

Bankructwo! Znamy ten okrzyk rzekomego tryumfu, gdy ks. M. Wł. Dębicki wydał w r. 1895 „Wielkie bankructwo umysłowe“ (a pisał też o „Bezwyznaniowości i jej skutkach“ na tamtym świecie). Tymczasem tego bankructwa wcale nie widać. To też dziś trochę może za wcześnie jest na to, aby głosić „bankructwo postępu“. Będzie on istniał nadal i robił swoje, pomimo, że zmienimy jego nazwę; bo on nie spełnił jeszcze wszystkiego, co miał do spełnienia, a świat w każdym razie potrwa trochę dłużej, niż „trzy tygodnie“ i jutro się nie skończy. To też „śmiejmy się“ razem z Beaumarchais [4]) z tego rodzaju „lęków i niepokojów“, którym w rzeczywistości nic nie odpowiada.

Henryk Wroński

Z dziejów inkwizycji

(dokończenie)

Lollardowie zjawili się w Anglji dopiero w XIV stuleciu; zasadniczo byli to angielscy potomkowie flamandzkich beghardów[19]), którzy poraz pierwszy zjawili się w Brugji w XIII stuleciu.

Łatwo się domyśleć, dlaczego właśnie tam, a nie gdzieindziej powstał ruch (o charakterze wybitnie socjalnym) przeciw kościołowi rzymskiemu. Rzecz się miała następująco. Z krajów, leżących na północ od Alp, w Niderlandach, a raczej we Flandrji i Brabancji, wcześniej, niż gdzieindziej, rozwinął się handel i produkcja handlowa, a co za tem idzie

---

[4]) Piotr Caron-de Beaumarchais (Bomarsze), świetny komedjopisarz francuski z XVIII w. (1732 — 1799), autor „Cyrulika sewilskiego“ i „Wesela Figara“, dwóch scenicznych arcydzieł intrygi, werwy i dowcipu o podkładzie rewolucyjnym. Użył on zwrotu: „Śmiejmy się! bo kto wie, czy świat potrwa jeszcze trzy tygodnie“. Wymienione komedje mamy w przekładzie Boya-Żeleńskiego.

[19]) Zarówno pochodzenie, jak też i znaczenie nazwy tej sekty nie jest ściśle ustalone. Najbardziej wiarygodnem wydaje się nam przypuszczenie Moscheim'a, który wywodzi słowo beghard ze starosaskiego wyrazu „beg“, co znaczy — prosić, żebrać; a więc beghardowie — biedni, niższe bractwo (Moscheim, Ketzergeschichte, str. 378). Nazywano ich również lollardami, od lollen — śpiewać, mruczeć. Lollardami nazywano również śpiewaków, biorących udział w pogrzebie. Nazwy te były przezwiskami, jakie lud nadawał beghardom. Sami zaś beghardowie nazywali siebie poprostu braćmi.

i wynikające z nich zagadnienia społeczne. Tu się krzyżowały liczne drogi handlowe. Do portów flamandzkich przyjeżdżali francuzi i włosi z produktami swoich krajów i Wschodu. Wkrótce do nich przyłączyli się hiszpanie i portugalczycy. Z zachodu przyjeżdżali anglicy, z północy kupcy potężnych miast niemieckiej Hanzy; ostatni byli pośrednikami w handlu między wschodem a zachodem północnej Europy — od Nowogrodu aż do Londynu. Porty flamandzkie, szczególnie zaś Brugja, służyły im za główne składy towarów.

Obok handlu rozwinął się przemysł. Łąki i wydmy sprzyjały hodowli owiec, a co za tem idzie, i przemysłu wełnianego. Wzrost stosunków handlowych spowodował wzrost produkcji, która przekroczyła wkrótce granice potrzeb rynku lokalnego; ponadto handel dostarczał wyśmienitego surowca— najlepszej w owe czasy wełny angielskiej. Powyższym warunkom Flandrja zawdzięcza wczesny rozwój produkcji sukna na eksport. W wyniku — kapitał ujarzmił tkaczy, tkacka zaś wytwórczość przybrała charakter kapitalistyczny. Wskutek tego przemysł wełniany był najbardziej rewolucyjną gałęzią przemysłu miejskiego, robotnicy—tkacze zaś byli bardziej rewolucyjnie uspobieni, niż drobni rzemieślnicy miejscy, pracujący dla ciasnego koła spożywców. Tem się jedynie tłumaczy powstanie piewszej rewolucyjnej sekty komunistycznej w centrum europejskiego przemysłu wełnianego, we Flandrji. Mamy tu na myśli sektę beghardów.

Życie beghardów—założycieli tej sekty w Brugji, wielkim ośrodku przemysłu średniowiecznego, opisuje w XIII stuleciu słynny Damhouder. Z opisu dowiadujemy się, że w owe czasy w Brugji było trzynastu mężczyzn, którzy, wynająwszy u opata Ekhertena kawał ziemi z dużym i wygodnym gmachem, w pobliżu muru miejskiego, zajęli się tkactwem i z czasem założyli bogobojne stowarzyszenie. Członkowie jego nie byli związani ze sobą żadną przysięgą, nosili jednak strój koloru bronzowego, prowadzili życie pobożne w braterstwie z bliźnimi, działali i pracowali zbiorowo, poświęcając wolny czas studjom nad św. pismem i rozmyślaniu o bogu i świecie. Dzięki pracowitości, trzeźwości i oszczędności zjednali sobie powszechne uznanie, szczególnie wśród biedniejszych warstw ludności. Podobnież stowarzyszenia założono i w innych miastach Flandrji i Brabantu. Praca beghardów najwidoczniej dała pomyślne wyniki, bowiem majstrowie cechowi wcześnie dostrzegli w nich niebezpiecznych konkurentów. W wielu miastach tkacze domagali się ostudzenia gorliwości „sekciarzy“, w Genui zaś były podjęte próby w kierunku pojednania miejskich robotników cechowych z beghardami. Będąc wytrawnymi tkaczami, beghardowie łatwo znajdowali pracę i poza granicami Flandrji; stąd też — rozpowszechnienie tej społeczno-religijnej sekty po całych Niemczech, Anglji i Francji. Wraz ze sztuką wyrabiania sukna, tkacze flamandzcy rozpowszechnili po całej

Europie idee beghardowkie, zasady komunistyczne. W niektórych miejscowościach pokorni i pracowici beghardowie stawali się rewolucjonistami; ostro zwalczali kościół i wszelkie ustalone formy życia religijnego i społecznego. Było to powodem do uznania ich za niebezpiecznych heretyków, których kościół powinien wytępić. Sobór w Besiers (Francja) ostro ich potępił. Prześladowanie beghardów, podobnie jak każde inne, w różnych miejscowościach miało różne następstwa: tam, gdzie warunki sprzyjały rozwojowi idej antykościelnych, działalność beghardów ustawicznie rosła; w innych natomiast miejscowościach beghardowie znikli pod ciosami papiestwa i kościoła, lub przyjęli charakter łagodniejszy i przyłączyli się do innych mniej prześladowanych sekt. Tak się rzecz miała np. we Francji i Włoszech. W Niemczech w pierwszej połowie XIV stulecia, gdy cesarz Ludwik Bawarski rozpoczął walkę z papieżem, beghardowie swobodnie krzewili swe nauki i rozpowszechniali nietylko antypapieskie, lecz i komunistyczne idee. Ludwik i popierający go mieszczanie nie podzielali wprawdzie idej komunistycznych, punkt ciężkości jednak tkwił dla nich nie w pozytywnych, lecz negatywnych naukach beghardów względem polityki kurji rzymskiej. W Anglji (w XV wieku), wrogo usposobionej do papiestwa, beghardowie pod nazwą lollardów prowadzili pomyślną kampanję. Szczególnie pomyślną była ich działalność w hrabstwie norfolkskiem. Hrabstwo to, powiadają, dało później więcej męczenników-lollardów, niż reszta Anglji. Prześladowania rozpoczęły się tu od chwili, gdy agitacja sekciarzy, dzięki swej treści socjalnej, pociągnęła za sobą i chłopstwo. Wkrótce w wielu miejscowościach wybuchły powstania.

Rzecz miała się jak następuje: komunizm, który znalazł podatny grunt wśród mieszkańców miast średniowiecznych, znalazł też z czasem podatny grunt i wśród chłopstwa. Rzemieślnik średniowieczny wogóle niezbyt się odrywał od chłopstwa, szczególnie zaś tkacz, który — w miarę rozwoju przemysłu wełnianego — był niekiedy nawpół chłopem. Przedsiębiorca-kapitalista, potrzebując sił roboczych, przyprzęgał do swych warsztatów mieszkańców wsi okolicznych, którzy dostarczali miastu surowca. W ten sposób tkacz często nie był mieszkańcem miasta. Bliskość, istniejąca podówczas między miejskim i wiejskim tkaczem, stworzyła możność współdziałania, a to tem bardziej, że komunizm wytwórczy nie był obcy pracującym chłopom, wyobrażającym sobie łatwo życie oparte na wspólnocie środków spożycia. W ten sposób powstały wśród uboższej warstwy mieszczaństwa komunizm heretycki zaraził swemi ideami szersze masy ludu wiejskiego. Z chwilą jednak, gdy chłopstwo poczęło się przyłączać do ruchu rewolucyjno-heretyckiego, stosunek władzy do sekciarzy przybrał charakter wybitnie wrogi. Miało to miejsce nawet i tam, gdzie, jak w Anglji, lollardów uważa-

no z początku za sprzymierzeńców w walce z obcokrajowem papiestwem i kościołem. Rozpoczęło się wówczas prześladowanie begbardów. W końcu XV wieku palono ich wszędzie. Edykt Henryka IV z 1401 r. podciąga ich pod kategorję zbrodniarzy, podlegających spaleniu za swe poglądy społeczne.

Nie łatwo jest ustalić genezę kary palenia żywcem. Jedni wywodzą ją z prawodawstwa cesarza rzymskiego, Decjusza (249 — 251), rzekomego prześladowcy chrześcijan [20]). Przekonawszy się, jak okrutną jest kara śmierci na stosie, chrześcijanie zaczęli ją później stosować do heretyków, których uważano za największych zbrodniarzy. Inni znów genezę palenia heretyków wywodzą z pisma świętego, w którem faktycznie gdzieniegdzie się wspomina o paleniu żywcem. W ewangelji Janowej czytamy: „Jeśliby kto nie mieszkał we mnie, precz wyrzucony będzie jako latorośl, i uschnie, i zbiorą je i na ogień wrzucą i zgorzeje“ (XV, 6). Papież Lucjusz III (1181 — 1189), powołując się na powyższy ustęp, oświadczył, że palenie heretyków „zgodne jest z prawem boskiem[21])“ i zmuszał panujących do złożenia przysięgi przed biskupem, iż będą ściśle się trzymać praw świeckich i kościelnych, tyczących się heretyków. Za odmowę papież rzucał na panujących klątwę, wykluczał ze społeczności chrześcijańskiej i odbierał im władzę, jeśli zaś chodziło o jakieś miasto, to izolowano je i pozbawiano wszelkiej styczności z resztą świata chrześcijańskiego. W ten sposób kościół dążył do zwierzchnictwa i podporządkowania sobie władzy świeckiej.

Kościół dał wszystkim obarczonym władzą do zrozumienia, że urzędy przez nich piastowane, są w rzeczywistości urzędami wszechświatowej organizacji kościelnej[22]), w której wszystkie interesy państwowe zostały podporządkowane inteteresom kościoła. Odtąd zwierzchnia władza w Europie należała do świętego imperjum rzymskiego; monarchę zaś podczas koronacji zatwierdzano w niższym urzędzie kapłańskim, zobowiązując go do prześladowania wrogów panującego kościoła. W bulli Klemensa VI, zatwierdzającej wybór Karola IV, zaraz na początku jest mowa o obowiązku cesa-

---

[20]) Wypada tu zaznaczyć, iż wbrew zapewnieniom wielu historyków, Decjusz nigdy nie organizował prześladowania chrześcijan. Wydał on jedynie rozporządzenie, mocą którego bezwzględnie wszyscy obywatele imperjum rzymskiego poświadczyć musieli wiernopoddańczość swą dla cesarstwa przez wrzucenie do ognia, palącego się na ołtarzu przed statuą boga lub ubóstwionego cesarza, chociażby kilku ziaren kadzidła. Decjuszowi chodziło tu o zmuszenia chrześcijan do złożenia ofiary obcemu bóstwu, — kierowały nim raczej pobudki polityczne.

[21]) Z „prawem boskiem“ zgadza się zawsze wszelka zachcianka kleru, choćby najnikczemniejsza. Jest ono takim samym wymysłem jak i bóg, a jedynie realną, pozytywnie istniejącą, rzeczą jest kler — okłamujący, ogłupiający, chciwy i zbrodniczy.

[22]) Daje to do zrozumienia i polskim ministrom. Por. list past. Hlonda z 23. IV r.b.

rza szerzenia wiary i tępienia heretyków. Bulla Inocentego III groziła każdemu księciu, sprzeciwiającemu się wydaleniu heretyków z granic państwa, klątwą kościelną i utratą władzy[23]).

Królów przed koronacją wyświęcano zazwyczaj na djakonów i na znak tej uległości władzy duchowej wkładano im pod strój koronacyjny dalmatykę. Stwierdza to m. inn. najstarszy ceremonjał koronacyjny polski, t. zw. Pontyfikał Ciołka.

Wskutek opieszałości swej w tłumieniu herezji anglika Wiklefa, król czeski, później zaś cesarz niemiecki, Wacław, został w 1400 r. zdetronizowany. Teologowie głosili, iż cesarze mieli władzę daną od boga jedynie poto, by dostarczać kościołowi środków do tępienia herezji[24]).

Książęta powinni byli wiedzieć, iż ziemie ich ulegną grabieży, jeśli, wbrew upomnieniom, nie będą prześladować wrogów kościoła panującego. Czcigodni ojcowie, zebrani na soborze w Tuluzie, postanowili, iż urzędników, nie ujawniających zbytniej gorliwości w prześladowaniu heretyków, powinno się wyzuć z majątku i praw do sprawowania urzędu[25]).

Do prześladowania wrogów kościoła zobowiązano wszystkich, poczynając od cesarza a kończąc na chłopie.

Pojęcia te, wprost lub pośrednio, zostały wprowadzone do europejskiego prawa państwowego. Fryderyk II przyjął je — jak już wspomnieliśmy — w swych okrutnych ustawach antyheretyckich. Z ustaw tych przedostały się one do praw obywatelskich i feudalnych, a nawet i do prawodawstwa lokalnego. A więc np. w 1228 r., zgodnie z ustawą werońską, każdy gubernator powinien był przyrzec pod przysięgą, pod groźbą utraty swego urzędu i godności, że będzie stosował do heretyków wszystkie prawa i kary.

Tłumienie herezji obowiązywało — jak już wspomnieliśmy — wszystkich chrześcijan, bez względu na stanowisko, jakie zajmowali w społeczeństwie. Zmuszano ich do denuncjowania wobec władz. Węzły pokrewieństwa nie upoważniały do ukrywania heretyka: syn zobowiązany był denuncjować ojca, ojciec — syna; mąż — żonę, żona męża itd. Zbrodnicze wyznawanie nauk heretyckich rozluźniało węzły, jakie ludzi łączyły: w dzieci wmawiano, iż powinny opuszczać rodziców, jeśli nie wyznawali katolicyzmu. Wszelkie

---

[23]) Patrz: Eymericus — Directorium Inquisitorum. Romae 1578, p. 60. Wspomina o tem również Lecky w swem dziele: „Dzieje Wolnej Myśli w Europie".

[24]) Zob. T. Gruda. Od królestwa bożego do monarchji uniwersalnej.

[25]) Dlatego nuncjusz papieski domagał się od jednego z ministrów polskich, aby usunął z posady pewnego nielojalnego wzgl. kościoła urzędnika (zob. W. P. № 4, str. 100, przypisek i № 11 str. 350). A ile tą drogą straciło w Polsce posad nauczycieli?

zobowiązania prywatne względem heretyków były nieważne. Papież Inocenty III oświadczył uroczyście, że, zgodnie z kanonem, nie powinno się dotrzymywać słowa wobec tych, którzy sami nie wytrwali w wierze w „jedynego“ boga. Żadna przysięga nie miała znaczenia, jeśli chodziło o heretyka. W ten sposób niepewność w sprawach stosunku kościoła do ruchu kacerskiego, jaka się dała zauważyć jeszcze w XI i XII wieku, znikła zupełnie w XIII stuleciu, gdy kościół podjął walkę na śmierć i życie z sekciarstwem. Nie mogło być już mowy ani o pobłażliwości, ani też o miłosierdziu. Grzegorz IX (1227—1241) w liście do jednego z inkwizytorów pisze: „Ponieważ z obowiązku ciążącego na naszych barkach, powinniśmy wyrzucić te kamienie obrazy z królestwa bożego i zwalczać według naszych sił te dzikie zwierzęta (heretyków), oddajemy w twoje ręce miecz słowa bożego. Postępuj według słów proroka i nie trzymaj miecza osuszonego z krwi, ale zagrzany gorliwością dla wiary katolickiej, napadnij zaraz, Fineuszu, na to cuchnące gniazdo kacerskie. Śledź uważnie heretyków, ich zwolenników i obrońców i karz tych, których według wyżej ci danych wskazówek uznasz za winnych. Trzymaj się kanonu i rozporządzeń, jakie wydaliśmy dla przerażenia heretyków, i tam, gdzie potrzeba, używaj pomocy świeckiej“.

Św. Tomasz z Akwinu, włoch znakomitego rodu, spokrewniony z Hohensztaufami, głosił następującą naukę o herezji: „Kacerstwo jest grzechem, przez którego popełnienie zasługuje się nietylko na ekskomunikę kościelną, lecz i na usunięcie ze świata. Jeżeli kacerz trwa przy swym błędzie, to kościół powinien już nie dbać o jego ocalenie, lecz, troszcząc się o zbawienie innych ludzi, wykluczyć go ze swego łona przez ekskomunikę; reszta należy do sędziego świeckiego, który usunąć go powinien ze świata skazując na śmierć.[26])

„Doktór anielski“, jak nazywano św. Tomasza, pokrył tutaj tylko swą „powagą“ praktykowane już oddawna prześladowanie inowierców.

Kościół nie poprzestał na tępieniu żyjących heretyków. Jeśli po śmierci padło na kogoś podejrzenie o przynależność do ruchu kacerskiego, wytaczano mu, niby żywemu, proces sądowy, przyczem — o ile wina została dowiedziona, wykopywano zwłoki i uroczyście palono na stosie.[27]) Powodem do prześladowania nieboszczyków była, oczywiście, chęć przywłaszczenia sobie ich majątków, które z zasady były konfiskowane na rzecz kościoła, czyli papieża.

H. Haliński

---

[26]) Summa, pars II, gn. XI, art. III.

[27]) Postępowanie swe względem zmarłych, podejrzanych o wyznawanie za życia nauk heretyckich, kościół oparł na uchwałach powziętych na powszechnych soborach, zwołanych (w 553 i 680 r.) do Konstantynopola.

Detronizowane bogi

W Ą Ż

Nasz ludek wiejski nie nadmiernie jeszczcze myślący i zastanawiający się, niemiłosiernie morduje sowy, krety i węże.

Sowa, ptak wysoce pożyteczny (niszczy polne myszy), niegdyś atrybut bóstwa i symbol mądrości u Greków, kret, źle widziany przez ciemne scholastyczne średniowiecze, wysoce wartościowy w rolnictwie (tępi t. zw. podjadki turkucie, atakujące korzenie pożytecznych roślin) i wąż „zaskroniec", pożyteczny w ogrodach łowca owadów, są tępione i prześladowane podobnie jak wolnomyśliciele przez kler.

A przecież wąż ma bogatą i zaszczytną przeszłość. Był on kiedyś jeżeli nie atrybutem boga, to nawet samym bogiem.

Kult wężów (ofiolatria) panował, jak zobaczymy, powszechnie, łączył się z kultem „ognia", tego „odpowiednika" słońca-ognia, który utrzymał się po dziś dzień na ołtarzu chrześcijańskiej świątyni w postaci zapalonych świec, bez których ofiara, nawet „niekrwawa" odbyć się nie może[1]) „Stary-wąż" w podaniach i klechdach, mówi folkloryście (badaczowi wierzeń ludowych), iż ukrywa się za nim bóg, który już traci znaczenie i przemija w wierzeniach.

Żydowska księga święta t. z. biblja (ks. I. mojżeszowa rozdz. III) mówi: „Ale wąż był chytrszy ponad inne wszystkie zwierzęta ziemne (świadectwo mocnej inteligencji), które był Pan Bóg stworzył — który rzekł do niewiasty (wąż wtedy mówił po hebrajsku, uw. m.): „Czemu wam Bóg przykazał, żebyście nie jedli z każdego drzewa rajskiego?" Wąż był ciekawy, zastanawiał się, pytał, wcześniej od człowieka. Tak więc poza Jahwe (Księżyc „Jah") poza Adamem (mężczyzna) i poza Ewą (kobieta) zjawia się chytry wąż, mówiący po hebrajsku, nieci on bunt w ludziach przeciw rozkazowi księżyca (Jahwe — Jah), stworzyciela nieba i ziemi i pierwszej pary semitów. Widać z tego wydatną rolę, potężne stanowisko węża w bardzo już oddalonych epokach.

Istotnie wąż, istota tajemnicza, skryta, dziwna dla człowieka, bardzo wcześnie poczyna zajmować wydatne w wierzeniach stanowisko. Bywa nawet łączony z duszą człowieka (animizm).

U żydów znowu zapisuje biblja (ks. IV Mojżesza 21—22—8) „I rzekł Pan (Jahwe) do Mojżesza: Uczyń węża miedzianego, a wystaw go na znak; który ukąszony wejrzy

---

[1]) Zob. W. P. Nr. 10 z 1931 r. ‚O świętach i świętowaniu", przypisek na str. 197.

nań, zdrów będzie". (9) „Uczynił tedy Mojżesz węża miedzianego i wystawił go na znak: na który, gdy ukąszeni patrzyli, byli uzdrowieni"[2]). Przecież to oczywiste, że nawet potężny Jahwe uznawał swego kolegę a może „poprzednika" (?) i doceniał jego moc cudowną, skoro pozwolił Mojżeszowi na wznowienie kultu „węża miedzianego", jako niezawodnego „fetysza" (zob. Dr. Phil. Fritz Schultze „Schlangen-Fetischismus").

Zobaczmy co mówi Salomon Reinach o kulcie wężów: Babilończycy i Assyryjczycy: Gilgamesz, król miasta Uruk „probuje dosięgnąć rośliny żywota, ale wąż mu ją wydziera". Arjowie i Indowie: „Indra, wojowniczy bóg nieba, zabija węże Ahi i wyzwala wody spętane w górach, lub chmurach. „Bóg Sivva (Rudry, Wed) okręcony jest wężami."

Irańczycy i Persowie: „Poświęcają świątynie totemom, a w ich liczbie wężowi". „Mitraizm zna również węża"

Grecy — Rzymianie: „Artemida arkadyjska ma za atrybut 2-a węże".

„Grecy wyobrażali sobie dusze zmarłych w postaci wężów".

„Ofiogenowie z Frygji (Grecja) uważali się za potomków bohatera-węża".

„Kult Asklepiosa (lekarza) łączy się z kultem węża".

"Celtowie czyli Gallowie: „Śród znaków o charakterze religijnym mają węża".

„Druidowie przypisywali moc magiczną jeżowcom kopalnym, poczytując je jako jaja świętych wężów".

Skandynawczycy i Germanowie: „Morze okrążające świat ma wygląd wielkiego smoka (węża). Dusza wychodzi z umierającego w formie węża. Odyn — bóg skandynawski — w poezjach Skaldów zmienia się w węża".

Słowianie: „Wile (dzikie rusałki) niekiedy zjawiają się jako węże".

Kult węża występuje niemal współcześnie (jeszcze około 1871 r.) b. wydatnie u plemion murzynów afrykańskich Whida. Tylko Apis w Egipcie (bóstwo w postaci wołu-cielca pielęgnowane przez 40 nagich kobiet) odbierał podobną cześć, jak wąż u plemienia Whida. Węża uważają tam za nieśmiertelnego. Król nawet nie ośmieli się skalać węża swojem spojrzeniem. Tylko najwyższy kapłan może spojrzeć na świętego węża. Nowoobrany król pielgrzymuje do świątyni węża. Najwyższy kapłan ma prawo (złote, cacane prawo) w każdym czasie (oj to, to, nb. bez sejmu) żądać dla świętego węża ofiar w złocie, perłach, dobrach doczesnych (naturalnie) a nawet w żywotach ludzkich (cudowna sposobność pozbywania się wolnomyślicieli i „bezbożników" nieposłusznych pp. kapłanom).

---

[2]) Por. „cudowne uzdrowienia" w Lurd. na Jasnej Górze i t. p.

Harem (tak!) świętego węża stanowią najpiękniejsze dziewice plemienia (podobnie jak wołu Apisa u Egipcjan — porównaj Jakób Anton Dulaure: Die Zeugung in Glauben, Sitten und Bräuchen der Völker,Leipzig 1909, przekład Dr. F. S. Krauss und Karl Reiskel). Corocznie kapłan wybiera w kraju „służebnicę węża" (8—12 lat wieku). Gdy dziewczęta te dojdą do dojrzałości płciowej, są poślubiane (tak) wężowi. Następują potem porody, ale „dzieci ludzkich", a nigdy wężów. Jest to już tajemnica kapłanów świętego węża (zaczerpnięte z Dr. Phil. Fritz Schultze: „Der Fetischismus, ein Beitrag zur Anthropologie und Religionsgeschichte"). Tenże autor dalej przytacza: „Gdy w Fernando Po wybuchnie epidemja, na słupie pośród targowicy, zawiesza się skórę węża. Matki przynoszą dzieci, aby dotykały skóry, co zabezpiecza od zarazy. W wiosce Issapoo stale wisi taka skóra z węża w celach leczniczych. Nawet w „ikonografji" chrześcijańskiej do świątyni wkroczył wąż i na obrazach „Niepokalana" opiera stopę swą na głowie węża: „A ona (niewiasta) zetrze głowę twoją".

Węże skrzydlate (smoki) mamy w polskich podaniach. Węże mitologji skandynawskiej Jörmungandr i Midgards oplatają ziemię dookoła i sprawiają przypływ i odpływ morza.

Gdy wąż skrzydlaty Tat u japończyków wychodzi z morza, by szybować w powietrzu, wtedy następuje „cyklon".

Pewien indjanin z Missouri zamieniony został w węża, umiejącego „mówić".

U ludów pierwotnych pochodzenie człowieka od zwierząt lub roślin (totemizm) nie wydawało się nieprawdopodobnem. Owszem, był to nawet pewien zaszczyt. Równolegle zwierzęta niektóre człowiek uważał za ludzi, np. małpy, które dzicy uważają za „ludzi których spotkało nieszczęście", albo jak na Madagaskarze, gdzie małpy są ludźmi „skazanemi za grzechy".

Podania każą wężowi wraz z bocianem[2]) i łabędziem dzielić sławę czynnika zapładniającego. Havelock Ellis w pracy: „Kobieta i mężczyzna" powołuje się na Plossa i Maxa Bartelsa i łączy menstruację u kobiet z wężem (rozmiłowany czy rozgniewany wąż kąsa kobietę i wywołuje ten objaw).

Najdawniejsze plastyczne wyobrażenie węża znajdujemu w epoce magdaleńskiej (10,000 — 25,000 lat wstecz wedle Dr. O. Hauser'a).

W „megalitach" (wielkich głazach) Bretonji (Francja) na grobach wyobraża wąż motyw duszy (animizm) zmarłego. Mamy też węża wyobrażonego w Palestynie na grobach z Tell-el-Mutesellin oraz w Tebach (Grecja), Benares (Indje). Porównaj: Dr. Georg Wilke: „Kulturbeziehungen zwischen Indien, Orient und Europa". Mannus-Bibliothek, 1913.

---

[2]) O zdetronizowanym bogu-bocianie, zob. W. P. Nr. 9/1931. Red.

Węgierskie cyganki, aby mieć potomstwo, noszą proszek ze skóry węża zaszyty w czepeczku dziecka na łonie. Ten sam zwyczaj widzimy w Tyrolu.

Mamy więc w wężu bardzo potężne bóstwo, które w miarę zmieniania się umysłowości człowieka, spadło z ołtarza i jakkolwiek pożyteczne (mowa o niejadowitych) ulega zajadłemu tępieniu.

Tak mija sława świata!

Marjan Wawrzeniecki

Po Zjeździe Nauczycielstwa Polskiego

Odbyty ostatnio w Warszawie Zjazd Związku Nauczycielstwa Polskiego wkłada na każdego, interesującego się ideologją ruchu zawodowego polskiej inteligencji, obowiązek zwrócenia nań uwagi i objektywnej oceny: jakie i o ile szerzą się, pogłębiają i utrwalają poglądy wśród wychowawców młodzieży. Nas, wolnomyślicieli, interesuje przedewszystkiem pogłębienie się na przestrzeni dwóch lat (od poprzedniego Zjazdu N. P. w Krakowie) dążeń nauczyczelstwa związkowego o wolność sumienia i świeckość nauczania, czyli nauczania, opartego na wynikach badań naukowych, a tem samem pozbawionego kościelnej, wyssanej z dogmatycznego palca „wiedzy" i „mściwej" nietolerancyjnej biblijnej etyki. Na marginesie dopisać należy, iż w ciągu tych dwóch lat zaobserwować było można następujące zjawiska: gwałtowną ofenzywę kleru na placówki postępu, jak szkołę, na projekt nowego prawa małżeńskiego i uległość czynników miarodajnych w stosunku do „okupantów". Nie przebrzmiały rownież i echa słynnego listu purpuratów o uchwałach Zjazdu Krakowskiego, bo skutki tej epistoły w postaci zatargów pomiędzy klerem a nauczycielstwem, wrogich nauczycielstwu kazań, inspirowania donosów i skarg — wciąż jeszcze mają miejsce.

Odbyty ostatnio Zjazd N. P. wykazał, że w większości nauczycielstwa polskiego zbudziła się żywa reakcja przeciwko tyranji kleru nad szkołą, że oświatowcy nasi coraz lepiej zdają sobie sprawę ze szkodliwości skutków konkordatu i art. 120 konstytucji dla rozwoju umysłowego, kultury i etyki przyszłych pokoleń polskich, a tem samem i dla dalszego bytu państwa. Świadomość tego, że tak dalej być nie może, pogłębiła się niewątpliwie, co pozwala nam być jak najlepszej myśli na przyszłość, zwłaszcza, że ze strony dotychczasowego Zarządu Głównego Zw. N. P. nic się w tym kierunku nie robiło, a przeciwnie kładło się rękę na usta tym, którzy nawoływali do otwartej i zdecydowanej walki z klerem o świeckość szkoły.

Zjazd jednomyślnie uchwalił wniosek grupy demokratycznej, domagającej się skasowa-

nia przymusowego odbywania przez młodzież szkolną pod nadzorem nauczycielstwa praktyk religijnych. Zjazd jednomyślnie uchwalił zwalczanie bogoklerykalnej prasy w rodzaju „Rycerza Niepokalanej", „Posłańca Serca Jezusowego" i podobnych im organizacyj, jak Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej i inne kółka patronackie.

Zjazd uchwaliłby wniosek o szkołę świecką, gdyby prezydjum Zjazdu było policzyło głosy. Prezydjum Zjazdu dało ten wniosek pod głosowanie z zaznaczeniem, że sprzeciwia się on konkordatowi i 120 art. konstytucji. A czyż to konstytucji zmienić nie można?

Zachodzi teraz pytanie: dlaczego ten ostatni wniosek nie został uchwalony jednomyślnie?

Na czele Związku stoją ludzie religijnie obojętni, bezideowi politycy, ulegli Radziwiłłom i innym, zależni od czynników postronnych. Uchwała taka wniosłaby zgrzyt do sielankowej harmonji między rządem a klerem, do czego prezydjum Zjazdu w żaden sposób dopuścić nie chciało. Postawa prezydjum, godzącego się na poprzednie wnioski o przymusie religijnym, stowarzyszeniach i prasie klerykalnej, była wywołana koniecznością ratowania swej popularności, zachwianej atakami grupy demokratycznej. Gdyby jednak prezydjum było istotnie religijne, powinno się było tym wnioskom przeciwstawić; skoro jednak zachowało się odwrotnie, jest to dowód, że troska o religję nie leży mu na sercu. Prezydjum widocznie nie zdaje sobie sprawy z tego, że dopóki szkodliwy i demoralizujący przymus religijny nie zostanie zdjęty z polskiej szkoły — dopóty ogół nauczycielstwa polskiego będzie stale narażany na walkę z klerem, którą nauczyciel w obecnych warunkach zawsze przegrywa ze szkodą dla pracy oświatowej i siebie. Czyżby prezydjum zależało na tem, aby ten stan rzeczy nigdy nie uległ zmianie i „klecha nadal pluł nam w twarz".

Czyżby prezydjum i Zarząd Główny w ten sposób pojmowały obronę zawodową swoich członków? i w ten sposób dbały o przyszłość polskiej szkoły? Zachowanie się prezydjum należy nadto sklasyfikować na tem miejscu — jako w najwyższym stopniu demoralizujące, bo demoralizujące przybyłych z najdalszych stron kraju delegatów, którzy przyjechali na zjazd po otuchę i pomoc moralną w walce z klerem, a tymczasem spotkali się z oportunizmem władz organizacji zawodowej, bojących się jak ognia dotknąć największej bolączki i stosunków szkolnych w Polsce. Ludzie ci powinni byli wrócić ze Zjazdu z „odwagą żołnierza, który wie, że zanim stoi armja świeża", a wrócili z uczuciem osamotnienia, zdani nadal na łaskę i niełaskę dobrze zor-

ganizowanego i nieprzebierającego w środkach walki garnizonu okupacyjnego watykańskich obskurantów. A któż stanie w obronie nauczycieli — jeżeli nie organizacja własna?

Czy mają ich brać w obronę ulegli wobec kleru inpsektorzy? kuratorzy? czy wreszcie minister Żongołłowicz? Mamy wrażenie, że nie tędy droga. Zjazd wykazał nadto u przybyłych delegatów duży zasób wiedzy zawodowej i ogólnej, dobre wychowanie i siłę oddziaływania na nich warsztatów pracy. Stwierdzenie to jest potrzebne do bilansu ruchu wolnomyślicielskiego w Polsce, któremu nauczycielstwo wiele zawdzięcza.

W zjeździe wzięło udział nauczycielstwo szkół średnich i powszechnych. Pierwsze do roku 1930 zgrupowane było w postępowym Związku Zawodowym Naucz. Szk. Średnich. Żywioły zachowawcze tego typu szkół zorganizowały się w Tow. Naucz. Szk. Średn. i Wyższych. Przygotowanie zawodowe nauczycielstwa szkół średnich polega na ukończeniu uniwersytetów, uwieńczonem otrzymaniem doktoratu lub też złożeniem odpowiednich egzaminów. Wysoki poziom wiedzy chroni nauczycielstwo szkół średnich przed wulgarnym klerykalizmem. Natomiast w układzie geologicznym nauczycielstwa szkół powszechnych odróżnić należy trzy warstwy. Warstwę najstarszą stanowią ludzie, którzy ograniczają się się do wiedzy (nie wchodzimy w ocenę jej poziomu), wyniesionej z urzędowych zakładów o programie przesiąkniętym czadem ustroju kapitalistycznego, którego skład chemiczny wyrazić można w formule: zachowawczość religijna, patrjotyzm z sosem kultury szlacheckiej a bez podkładu nowoczesnego ustroju politycznego, społecznego i gospodarczego. Są to warstwy nieliczne, w pionowym rzucie wąskie.

Sama struktura zawodu nauczycielskiego wymaga ciągłych studjów, w różnych formach przeprowadzanych, co rozszerza horyzonty umysłowe nauczycielstwa promieniem dłuższym i głębszym niż zakres oficjalnych programów i uwalnia je od klerykalnych i innych wstecznych poglądów. Tyczy się to warstwy średniej najliczniejszej. Warstwa ta, jako grupa ludzi bez względu na swe geograficzne rozmieszczenie, stracona jest dla kleru bezpowrotnie.

Do trzeciej warstwy należy nauczycielstwo najmłodsze, jeszcze nieskrystalizowane dostatecznie i pod względem intelektualnym i pod względem świadomości zawodowej, ciążące jednak wyraźnie ku postępowi.

Od teoretycznego skrystalizowania własnych dla siebie poglądów do ich ujawnienia i czynnego propagowania krok jeden, zależny od siły charakteru (brak jej — choroba ogólna inteligencji polskiej), atmosfery duchowej środowiska i polityki rządu. Ten punkt wyjaśni specjalna geografja. Nauczycielstwo dzielnic zachodnich, wewnętrznie zgodne

z pozostałem. taktycznie ogranicza się do walki o skrócenie liczby godzin nauczania religji z 4 na 2 w szkołach b. zaboru pruskiego, o zamianę szkoły wyznaniowej na międzywyznaniową. Nauczycielstwo pozostałych dzielnic posuwa się dalej. W roku 1930 w Lublinie zapadła uchwała, domagająca się szkoły świeckiej, w 1931 wywłaszczenia dóbr martwej ręki, czyli kleru, na rzecz budowy szkół. Na szeregu Zjazdów powiatowych w województwach wschodnich, jak Lida, Nowogródek, wielu miastach Polesia: Kobryniu, Drohiczynie podkreślono szkodliwą dla kleru agresywność kleru katolickiego, w Brześciu/B. zaprotestowano przeciwko rekolekcjom dla nauczycieli.

Te właśnie względy: brak spoistości strukturalnej i jednolitości poglądów na rolę religji w szkole były powodem nieprzyjęcia wniosku o szkołę świecką na Zjeździe. Braki te jednak z każdym rokiem zanikają, a w miarę ich zanikania — zbliża się realizacja szkoły świeckiej w Polsce.

Reasumując, stwierdzić należy, że nauczycielstwo w swej masie jest czynnikiem walki z klerykalizmem, jednak czynnikiem niewystarczającym, że niezależne organizacje ideowo-polityczne i społeczne powinny wraz z istotną demokracją rozpocząć atak o wolność sumienia i świeckość nauczania w państwie równolegle do walki z panem kleru — międzynarodowym kapitałem,

A. K.

Heretyk Józef Turmel[1])

Feliks Sartiaux, historyk religji, filozof i archeolog, napisał książkę o Józefie Turmelu[2]), skromnym kapelanie Sióstr Miłosierdzia w Rennes, który od lat 50 u poświęcał się benedyktyńskiej pracy nad historją dogmatów katolickich, nie szukając uznania ani sławy i który zmarłby cicho nieznany, jak cichem było jego całe życie, gdyby postać jego na schyłku życia nie zajaśniała raptownie w świetle błyskawic i piorunów kościelnych.

Syn biednych rodziców, prawie analfabetów, którzy mieli siedmioro dzieci, pomaga im w pracy, nosząc na plecach drzewo w godzinach pozaszkolnych. Wkrótce jednak zwraca na siebie uwagę swą wybitną inteligencją i gorącą pobożnością. Wstępuje do seminarjum w Rennes, potem na wydział teologji w Angers, następnie wraca do swego rodzinnego miasta i zostaje profesorem dogmatyki w temże

[1]) Zob. W. P. № 26 z r. 1930.

[2]) F. Sartiaux. Joseph Turmel, pretre, historien des dogmes. (Rieder, etiteur) 1931.

seminarjum. Odtąd zaczyna się jego praca samodzielna badacza historyka i walka wewnętrzna, która trwa przez dwa lata. Wychodzi z niej zwycięsko i odtąd w przekonaniach jego nie zachodzi żadne odchylenie, namiętnie szuka prawdy historycznej bez względu na to, że ona burzy uświęcone dogmaty. Nie występuje jednak z kościoła, Sartiaux usprawiedliwia go: „Nie mogąc zerwać ze wszystkimi, których kochał, nie chcąc ich doprowadzać do rozpaczy, wolał sam siebie skazać na cierpienia". Zresztą nie wiedział jeszcze wówczas jak daleko zajdzie. Nie ubiega się jednak o zaufanie u swych zwierzchników, dają mu już do zrozumienia, by się usunął z zajmowanego stanowiska i po długich wielomiesięcznych oczekiwaniach wyznaczony zostaje na kapelana Sióstr Miłosierdzia. Pomimo nad wyraz skromnych warunków materjalnych poświęca cały czas swym badaniom i zamieszcza szereg artykułów w „Revue d'Histoire et de Litterature religieuses" oraz książek pod rozmaitymi pseudonimami (Dupin, Herzog, Caulange, Delafosse, Lagarde). Zaczynają się budzić coraz silniejsze podejrzenia dokoła tego anachorety, żyjącego pomiędzy kapliczką klasztorną a bibljoteką, nie wygłaszającego kazań, nie nauczającego dzieci katechizmu, nie szukającego żadnych osobistych korzyści. Po kilkakrotnych napomnieniach, groźbach, zostaje ostatecznie wyklęty 6 listopada 1930 r. jako kacerz i heretyk.

W jednej ze swych książek tak oto tłumaczy, dlaczego nie wystąpił sam z kościoła:

„Ksiądz, który doszedł do poznania prawdy, podobny jest do tego podróżnego, który wsiadł na okręt i dopiero na pełnem morzu dowiedział się, że jedzie do innego miejsca przeznaczenia, niż się spodziewał. Rzucić się do wody byłoby bezużyteczne, pozostaje więc znosić ze stoicyzmem konsenkwencje błędu nie dającego się naprawić. Iluż księży, którzy stracili wiarę, pozostaje jednak do śmierci w kościele, dochodząc nieraz do wysokich godności. Turmel określa ich ilość w samej Francji na 500 do 600[3])."

Sartiaux uważa Turmela za wielkiego historyka, posiadającego obok olbrzymiej erudycji, niezwykle ścisłą logikę. Wyszedł obecnie tom pierwszy jego „Histoire des Dogmes" pod prawdziwem nazwiskiem. Styl jego prosty, jasny, przedstawia dogmaty ścisłą metodą historyczną, zestawiając teksty z różnych epok spokojnie, rzeczowo, bezstronnie, a dopiero, gdy doprowadza do ich obalenia, wtedy szydzi, biczuje i grzmi oburzeniem.

Iza Zielińska

---

[3]) Zob. W. P. № 7 z 1931 r. str. 150.

Dziwne kulty

Ze współczuciem wspominamy dzisiaj o naszych przodkach, którzy poniżając swą godność człowieka, czcili i otaczali nimbem świętości istoty należące do niższego rzędu tworów natury, czy też różne martwe przedmioty t. zw. bożki. Ale pomyślmy, czy się co zmieniło od tego czasu? Nastąpiła tylko pewna modyfikacja w sposobie wierzeń, ale pozatem nic, absolutnie nic. Człowiek religijny nadal pozostał człowiekiem pierwotnym. Podobnie jak jego prapradziad, stawia sobie w dalszym ciągu różne figurki t. zw. świętych, matek boskich (szkoda, że nie babek i dziadków) i zapatrzony w wieczną szczęśliwość, czapkuje i modli się przed takim kamiennym lub drewnianym bałwankiem. Dawniej miał człowiek masę bogów, dziś ma jednego, ale zato boga z całą gwardją przyboczną „świętych", którzy są czczeni przez lud narówni z owym najwyższym. Podobnie jak murzyni afrykańscy, którzy noszą na szyi zęby krokodyle, suche korzenie, liście i t. p. talizmany, zaczarowane przez ich znachora lub czarodzieja, nosi wierzący w naszych czasach zaczarowane z podobnym skutkiem przez księdza medaliki, krzyżyki i szkaplerze. Dość dowcipnie urządzają się murzyni katoliccy z wyspy La Gonave. Uważają oni wizerunek św. Patryka za świętego kościoła rzym-kat. i za bożka Dembaal, obroniciela od wężów, a św. Piotr jest znów u nich zarazem bożkiem Papa Legba, strażnikiem bram wyspy.

W Polsce do niedawna za zwierzę poświęcone bogu uważany był bocian, wśród ludu wiejskiego kult ten istnieje jeszcze po dziś dzień, podobnie jak u żydów kult księżyca. Ciekawy kult krowy istnieje jeszcze dotychczas wśród Hindusów. Hindus, któryby uderzył lub skaleczył krowę — nawet nieświadomie — zostaje skazany przez kapłana na pokutę w myśl przykazań religijnych. Stopnie tej pokuty bywają rozmaite, w zależności od sekty, do której skazany należy i od kapłana, który ją wyznacza. Obok tych zwykłych krów istnieją jeszcze krowy poświęcane, są to te, które pozostają na utrzymaniu świątyń bramińskich. Krowy te noszą na szyi dzwonki blaszane, które odróżniają je od ich nieświętych towarzyszek. Za wyrządzenie krzywdy takiej poświęcanej krowie, kara jest stokroć większa, a nawet wprost potworna, przynajmniej w pojęciu europejczyka. Od czasu do czasu można spotkać w różnych miastach indyjskich pokutującego „grzesznika", który ośmielił się zabić święte zwierzę. Hindus ten z wyroku „guru" kapłana, musi przez całych 7 lat wędrować po kraju i żebrać. Z dzwonkiem na szyi, obrośnięty jak zwierz, brudny, od lat niemyty, wydając głuche przeciągłe jęki, naśladujące ryk krowy, włóczy się ten pokutnik—żebrak po kraju i błaga bóstwa opiekuń-

cze o przebaczenie za popełnioną zbrodnię. W starożytnym Egipcie istniał podobny powyższemu kultowi, kult krokodyla.

Dziwne te kulty mają jednak swą uzasadnioną genezę. W Indjach podobnie jak i w Egipcie zwierzęta te były na wymarciu, a ponieważ oddawały one ludziom wielką przysługę, należało w jakiś sposób uchronić je od całkowitej zagłady. Krokodyle pełniły wówczas rolę czyścicieli rzek, pożerając wszelkiego rodzaju padlinę, to też kapłani uczynili z nich istoty „święte" i w ten sposób zapobiegli dalszemu tępieniu tych drapieżnych jaszczurów. To samo uczynili z krową kapłani indyjscy, powodując się względami na gospodarkę rolną i utrzymanie ludności. Dziś w tym celu zostały stworzone ligi ochrony zwierząt, które drogą uświadamiania społeczeństwa osiągają swój cel.

Agenor Krygler

Kronika

Nowy kodeks karny

W Nr. 60 Dziennika Ustaw Rz. P. z dn. 15 lipca r. b.[1]) został ogłoszony jako rozporządzenie Prezydenta RP. (z d. 11.VII) pierwszy polski Kodeks Karny, mający obowiązywać na całym obszarze państwa od dnia 1 września r. b., (a nie od 1 sierpnia, jak podaliśmy za prasą codzienną w poprzednim Nr. naszego pisma).

Kodeks wśród kar przewiduje karę śmierci, której w drugiem czytaniu projektu Kom. Kodyf. nie było. Podniesiono też wysokość kar za poszczególne przestępstwa.

„Przestępstwa przeciw uczuciom religijnym" (rozdział XXVI, artykuły 172, 173 i 174) uległy również pewnym uzupełnieniom (zob. W. P. Nr. 18 z r. 1930 i W. P. Nr. 11 z r. 1931). Brzmią one jak następuje:

„*Art. 172. Kto publicznie Bogu bluźni, podlega karze więzienia do lat 5.*

Art. 173. Kto publicznie lży lub wyszydza uznane prawnie wyznanie lub związek religijny, jego dogmaty, wierzenia lub obrzędy albo znieważa przedmiot jego czci religijnej lub miejsce przeznaczone do wykonywania jego obrzędów religijnych, podlega karze więzienia do lat 3[2]).

Art. 174. Kto złośliwie przeszkadza publicznemu zbiorowemu wykonywaniu aktu religijnego uznanego prawnie wyznania lub związku religijnego, podlega karze aresztu do lat 2".

---

[1]) Cena 75 gr.

[2]) Słowa podkreślone zostały dodane; w projekcie Kom. Kodyf. ich nie było. Karę z lat 2-ch podniesiono do 3-ch.

Z tego wniosek, że wyznania i związki religijne nieuznane przez państwo oraz ich dogmaty, wierzenia i obrzędy możnaby lżyć i wyszydzać bezkarnie i również bezkarnie można przeszkadzać publicznemu zbiorowemu wykonywaniu aktów religijnych tych wyznań i związków. Czy to jest słuszne i sprawiedliwe?

Wyobrażamy sobie, jak teraz zaczną hulać bezkarnie po całej Polsce chuligani akcji katolickiej i lżyć, wyszydzać i rozbijać nabożeństwa nieuznanych przez państwo sekt i kościołów, a zwłaszcza kościoła narodowego, jeżeli państwo tego kościoła nie uzna w najbliższym czasie. To też nic dziwnego, że „faronowcy" zwrócili się w tych dniach do cerkwi prawosławnej o połączenie się z nią, aby zapewnić sobie i swoim dogmatom, wierzeniom i obrzędom opiekę prawną.

Jednem słowem: średniowiecczyzna będzie nadal pokutowała w polskim „postępowym" kodeksie karnym. Jest to niewątpliwa zdobycz kleru, uznanego przez państwo.

Natomiast kler ten przegrał wyraźnie sprawę, gdy chodzi o „zbrodnię" przerywanie ciąży. Spędzanie płodu nie jest karalne (art. 233), jeżeli zabiegu dokona lekarz i jeżeli zabieg ten był konieczny ze względu na zdrowie kobiety ciężarnej, lub jeżeli zajście w ciążę było spowodowane gwałtem, dokonanym na osobie poniżej lat 15.

Odpadły natomiast względy „na dobro rodziny lub ważny interes publiczny", zaproponowane przez Kom. Kodyf. w drugiem czytaniu.

Art. 229 i 230 przewidują karę więzienia do lat 5 za zabójstwo w pojedynku. Karze tej podlegają nietylko przeciwnicy, lecz i sekundanci.

W tymże Dzienniku Ustaw było ogłoszone rozporządzenie Prezydenta Rz. P. o wykroczeniach, czyli o przestępstwach lżejszych, zagrożonych karą aresztu do 3 miesięcy lub grzywny (od 1 zł. do 3000 zł.). Wchodzi ono w życie razem z kodeksem karnym, czyli z dniem 1 września r. b.,

Czekamy teraz na wejście w życie prawa małżeńskiego i ustawy o aktach stanu cywilnego.

Młodzież a rozbrojenie. Stowarzyszenie Pojednania (International Fellowship of Reconciliation) zorganizowało olbrzymi Pochód Pokoju w celu propagowania całkowitego rozbrojenia. Na początku lutego b. r. z różnych krajów europejskich wyruszyły drużyny, zmierzające różnemi drogami do Genewy, dokąd przybyły w 2 miesiące później. Po drodze urządzono 150 wieców, w których wzięło udział kilkanaście tysięcy osób. W wielu wioskach cała ludność wychodziła na spotkanie pochodu i przysłuchiwała się przemówieniom młodzieży. Czwartego kwietnia 1932 r. przywódcy młodzieży przedstawili M. Hendersonowi, prezesowi Konferencji Rozbrojeniowej, petycję podpisaną przez 50 tysięcy młodych ludzi, żądającą natychmiastowego rozbrojenia.

W dniu, w którym kobiety wszystkich narodów również przedłożyły swoją petycję, Mr. James Green zwrócił się do Konferencji w imieniu studentów angielskich i amerykańskich z przemową, z której podajemy następujący wyjątek:

„Po rozważeniu wypadków poprzedzających katastrofę 1914 r. straciliśmy wiarę w mądrość starszego pokolenia. Sława i heroizm tego

okresu nie robią na nas żadnego wrażenia. Wspominamy z szacunkiem poległych na polu bitwy, ale kwestjonujemy słuszność decyzji tych, którzy ich na śmierć wysłali.

„Każdej chwili możemy usłyszeć wezwanie, aby wyrzec się wszystkiego, co nadaje wartość życiu i paść ofiarą pocisków i gazów trujących. Młodym mężczyznom i kobietom w moim wieku każą zniszczyć najlepszą cząstkę kultury ludzkiej a może i całą cywilizację dla powodów, które historycy przyszłości uznają za błędne, jeśli nie za głupie lub występne. Dlatego nie mamy żadnej ochoty stać się mięsem armatniem." (The War Resister, N. 31, 1932)

Jak się robi wojnę. Sekretarz francuskiej partji socjalistycznej Paul Faure, przedstawił parlamentowi na posiedzeniu z dn. 11/II 1932 r. sensacyjne dane, dotyczące zbrojeń obcych państw, które otrzymują, potrzebne na to pieniądze... od rządu francuskiego.

Rząd republiki, nie pytając parlamentu o radę, pożyczył znaczną sumę pieniędzy Węgrom. Pożyczka ta miała na celu przyjście z pomocą zaangażowanej na Węgrzech grupie przemysłowo-finansowej. Ośrodkiem tej grupy jest wielka firma zbrojeń Schneidera z Creusot.

Paryski „Banque de l'Union", administrowany przez Eugenjusza Schneidera, dostarcza funduszów Bankowi Kredytowemu węgierskiemu, który finansuje tajne zbrojenia swego rządu. Ostatnio powstała „Europejska Unja przemysłowo-finansowa," która ma akcje Banku Kredytowego węgierskiego i zapewniła sobie kontrolę nad czechosłowacką fabryką broni Skoda w Pilźnie. Na czele tej akcji stoi tenże Eugenjusz Schneider.

Okazuje się więc, że rząd francuski, ulegając naciskowi fabrykantów broni, daje sam pieniądze na wymierzone przeciw niemu zbrojenia. Jednocześnie informuje się opinję publiczną, że Węgry zbroją się potajemnie i że dlatego wskazanem jest, aby Francja dotrzymywała im kroku (przemowa gen. Bourgeois w marcu 1932 r. w Senacie). Wszystkie zaś te machinacje są wodą na młyn fabrykantów broni. Wystarczy przypomnieć, że dostawy broni i amunicji, które idą z Creusot do innych krajów, zbiegają się z pożyczkami Francji dla tych krajów.

Z wyjątkiem „Populaire'a" prasa francuska nie wspomniała ani słowem o przemówieniu Faure'a. Milczenie to staje się zrozumiałe, jeśli zważyć, że „Matin" i „Temps" znajdują się w rękach przemysłu amunicyjnego.

Ul. „Piękna," ulicą „Piusa XI." Endecko-chadeckie Narodowe koło gospodarcze zgłosiło 27. VI w warszawskiej Radzie Miejskiej wniosek o przemianowanie ulicy Pięknej na ulicę Piusa XI z okazji 10-lecia pontyfikatu pierwszego nuncjusza apostolskiego w nieodrodzonej Polsce. Wniosek przeszedł z braku radnych lewicowych. Dowiedziawszy się o tem, nuncjusz Marmaggji podziękował prez. miasta inż. Słomińskiemu za „tak piękny dowód szlachetnych tradycyj religijnych i obywatelskich stolicy Polski." (Por. Gaz. Warsz. z 29. VI i IKC z 11. VII). Z tego wynika, że przemianowywanie ulic ma charakter religijny, a czczenie zwierzchnika „naszych okupantów" zostało podniesione do godności czynu obywatelskiego i pięknego dowodu (od ulicy Pięknej) szlachetnych tradycyj. Ano tak, tradycje są. Pamiętamy przecież wręczenie carsk. gen. Ruzskiemu przez endecję złotej szabli za wzięcie Lwowa w r. 1914. O tych „tradycjach" napiszemy niebawem, gdy wyjdzie z druku pewna źródłowa praca o endecji.

Kościół opatrzności jako środek przeciwko kryzysowi. Ponieważ zarządzona przez biskupa łódzkiego Tymienieckiego krucjata modlitw przeciwko kryzysowi nie poskutkowała (zob. W. P. Nr. 14 str. 436), tenże sam jegomość zainicjował — jak donosi „Kurjer łódzki" z dn. 3. VII — wzniesienie na Marysinie w Łodzi kościoła opatrzności. Kamień węgielny już został poświęcony. Odezwa komitetu budowy głosi, że „kościół ten ma być votum mieszkańców m. Łodzi celem uproszenia Boga o zła-

godzenie ciężkiego kryzysu gospodarczego.“ Komitet przystępuje do pracy, „z wiarą w miłosierdzie boże“ tudzież w ofiarność przymierającego głodem robotnika łódzkiego.

Dla umocnienia w wierze nielicznej ludności chrześcijańskiej m. Otwocka pod Warszawą ks. Pawliszak (podpis trochę nieczytelny) postanowił wznieść w tej „ogólnie znanej i notowanej wśród uzdrowisk europejskich miejscowości kuracyjnej“ kościół pod wezwaniem św. Wincentego i w tym celu zwrócił się o datki pieniężne i fanty loteryjne do ludności niechrześcijańskiej. Oto co się nazywa nie przebierać w środkach!

Paulini jasnogórscy otwierają filję cudów w Budapeszcie. Jak donosi Kat. Aj. Pras, paulini jasnogórscy, znani dobrze w kraju i zagranicą z umiejętności wyciągania kroci tysięcy zł. z wierzącej ciemnoty, zostali zaproszeni przez kler węgierski (który widocznie tych talentów nie posiada) do objęcia klasztoru w Budapeszcie i do przeszkałcenia go na miejsca cudami słynące. Spece jasnogórscy ofertę przyjęli i już zaczęli się uczyć języka węgierskiego. Warunki współpracy — zwłaszcza podział zysków pomiędzy właścicielami klasztoru a jego arendarzami — nie są ogółowi znane. Należy to do t. zw. tajemnic zawodowych.

Tegoroczne dożynki odbędą się nie w Spale, lecz w Częstochowie. Ponieważ tegoroczny napływ pątników na Jasną Górę z okazji 550 rocznicy okradzionego przez paulina Macocha obrazu jasnogórskiego, zapowiada się niezbyt dobrze, biskup częstochowski Kubina udał się do Spały z prośbą, aby p. Prezydent R. P. zechciał przybyć do Częstochowy na dzień 14 sierpnia i urządzić tam jednocześnie tegoroczne tradycyjne dożynki dla wieśniaków. Wróciwszy ze Spały, bp. Kubina zawiadomił przeora Welońskiego, że dostojny gość przybędzie do Częstochowy. Wieść ta każe być białym ojcom jak najlepszej myśli. Dwadzieścia parę tysięcy ambon w Polsce już tę wieść zakomunikowało komu należy. Powodzenie tegorocznego sezonu jasnogórskiego zapewnione. „Ciężki kryzys“ (zob. W. P. Nr. 12 str. 370) może „wszystkich przygniatać“, tylko nie ludzi, którzy umieją chodzić około swoich interesów. Innych dożynki mogą dorżnąć. Ich postawią na nogi. Aby jasnogórskie dożynki mogły wypaść jak najlepiej min. Komunikacji udzieliło pątnikom z dalszych okolic 50% zniżki kolejowych. Por. IKC z d. 8. VII i z 15.VII.

Propaganda bałwochwalstwa. Co roku w letnich miesiącach urządza akcja katolicka międzynarodowe, krajowe lub diecezjalne kongresy eucharystyczne. Robi to z wielką pompą przy pomocy mas, aby teatralnemi efektami zastąpić pustkę mistycznej treści. Tegoroczny międzynarodowy kongres eucharystyczny odbył się w dniach 22-27|VI w Dublinie w Irlandji. Miał on na celu „ożywić ducha katolicyzmu“ w protestanckiej Anglji, której królowie przy wstępowaniu na tron wypowiadają formułę „No popery!“ (precz z papizmem!). Kongres zgromadził wielką liczbę uczestników. Jedne pisma podawały ich nad 100 tys. inne na pół miljona, a inne wreszcie na miljon. Rząd i wojsko Irlandji wzięły udział w kongresie, papież przysłał swego legata kard. Lauri, któremu wkładano kapelusz na Zamku warszawskim w r. 1927 przez parę godzin. Finał jednakże kongresu był trochę niemiły. Oto żywioły antykatolickie urządziły demonstracje, wznosząc wrogie okrzyki przeciwko papieżowi, a w momencie, gdy przy dźwiękach fanfar zaczęto nadawać przez głośniki orędzie papieża, transmitowane z Rzymu do Dublina, ukazała się nad miastem eskadra samolotów, która warkotem śmigieł zagłuszyła speach papieski (przemówienie). Demonstranci powybijali szyby w kościołach katolickich, a udające się na kongres, jak również i powracające z kongresu wycieczki poobrzucali kamieniami, wybijając szyby w wagonach i raniąc wiele osób. W Donamana zaś pozrywali sztandary papieskie, któremi były udekorowane kościoły i niektóre domy i spalili je na rynku. Nie można więc powiedzieć, aby się kongres udał. Z Polski wyjechała na kongres dubliński wycieczka pod przewodnictwem Hlonda w składzie zgórą stu osób, głównie księży.

Chleb z cudzej mąki. Wielką niedogodnością państwa papieskiego było to, że musiało sprowadzać dla swych poddanych chleb z zagranicy, czyli z Rzymu. Cchąc się wyzwolić z zależności ekonomícznej państwa ościennego, Citta del Vaticano ma zamiar wznieść — jak podaje KAPra własną elektryczną piekarnię, by w sposób mniej cudowny niż Chrystus karmić głodne rzesze swych 994 poddanych. Niema tylko jeszcze własnej mąki. Ale przecież ludzie żyjący z ołtarza innego chleba nigdy nie jedli, aniżeli z cudzej mąki.

Pamiętaj abyś dzień święty święcił, czyli zatarg prawa bożego z przepisami państwowemi. W sobotę dnia 16 bm. listowy urzędu telegraficznego we Lwowie nazwiskiem Trojnarski doręczył niejakiemu Friedmanowi depeszę, którą ten otworzył i przeczytał. Nie chciał jednakże potwierdzić listowemu jej odbioru z powodu szabasu. Ponieważ Trojnarski domagał się kategorycznie pokwitowania, Friedman wraz z kilkoma swemi współwyznawcami pobili Trojnarskiego do krwi pomimo święta i pomimo święta poszli do kozy. I. K. C. z 20 VII.

Z prasy

„KRYZYS a ŻYCIE RELIGIJNE.“ Francuska „*La vie catholique*“ zamieszcza pod powyższym tytułem dłuższy artykuł, z którego wynika, że liczba nieobsadzonych z braku księży parafij we Francji dochodzi już do liczby 12.000. Pomimo wielkich ułatwień w studjach, dobrze wyposażonych seminarjów duchownych, nawoływań i zachęty, kandydatów do stanu „duchownego“ jest coraz mniej, a w kilku djecezjach trzeba było nawet zamknąć seminarja, a nielicznych kleryków poprzenosić do sąsiednich djecezyj. Wg. tego pisma również i Brazylja „cierpi“ na brak księży, tak że sfery kościelne brazylijskie zaczęły ostatnio przywoływać księży z Meksyku i z Hiszpanji z uwagi na bliskie pokrewieństwo języka hiszpańskiego z portugalskim (Brazylja używa języka portugalskiego).

Kryzys gospodarczy dał się również we znaki „życiu religijnemu“ krajów protestanckich. Oto jak podaje „*Pielgrzym Polski*“ (Nr. 7) w pruskim kościele unijnym brak 952 pastorów. W Marchji Brandenburskiej 150 parafij nie ma „duszpasterzy“. W Holandji, w niderlandzkim kościele reformowanym, brak 150 pastorów, a 30 zborów nie stać na utrzymanie stałego duchownego. Wg. „*Gazety Warszaw.*“ (Nr. 144) w 1139 parafjach anglikańskich plebanje są puste, a ołtarze pozbawione ofiarników.

Nam się jednakże wydaje, że to nietyle kryzys gospodarczy czyni takie spustoszenie w życiu religijnem poszczególnych krajów, co wzrost zmądrzenia u podrastających i już podrośniętych ludzi pokolenia spółczesnego.

ONI TO NAZYWAJĄ ROZDARCIEM WEWNĘTRZNEM. Ks. dr. A. Bobrowski, prof. Uniwersytetu Warsz., zastanawiając się w „*Przeglądzie katolickim*“ (N-ry 25, 26 i 27) nad poglądami liberalnemi na małżeństwo, powiada o projekcie opracowanego przez Kom. Kodyf. jednolitego

dla całego państwa prawa małżeńskiego, że wprowadzi ono „rozdarcie wewnętrzne“, ponieważ jest ateistyczne, fanatycznie antyreligijne, uznaje wyższość państwa nad kościołem, chce, aby prawu temu podporządkowali się i katolicy, których obowiązuje kanon 1094, głoszący iż tylko ślub zawarty w kościele jest ważny, a co najważniejsza, że prawo to zaprowadza w Polsce faktyczny rozdział kościoła od państwa w dziedzinie prawa małżeńskiego, a stąd już tylko krok do rozdziału formalnego. Ten rozdział faktyczny będzie miał i ten „fatalny“ skutek, — biada ks. B., że gdy narzeczonym katolikom ksiądz odmówi ślubu kościelnego ze względów kanonicznych pójdą oni bez namysłu do urzędnika stanu cywilnego, zlekceważą swoje wyznanie, i nie dadzą księdzu za ślub nic zarobić. Ks. dr. prof. Bobrowski nazywa to „lekceważeniem przez państwo uczuć i przekonań religijnych“, choć właściwie będzie to wyrwaniem obywateli polskich z tyranji i samowoli katolickiego kleru i ich nieżyciowej doktryny.

PRZYKROŚĆ NIE DO WIARY. W Nr. 144 „*Gazety Warszawskiej*“ zamieściła KAPra komunikat o strasznym despekcie, jaki spotkał w Zambrowie kościół katolicki w osobie biskupa Łukomskiego, znanego ze swoich antypaństwowych i antyrządowych wystąpień. Pan ten zapowiedział „kanoniczną wizytację pasterską“ parafji Zambrów. Miał przytem bierzmować i katechizować. Parafjanie pod wodzą miejscowych konkordatowców, wytrzebionych z polskości dla papieża, oczekiwali „dostojnego gościa“ na rynku; całe miasteczko było udekorowane, nawet domy żydowskie; jedynie tylko ratusz świecił — jak pisze KAPra — golizną (ponoć z rozkazu starosty); wojsko nie prezentowało broni, bo dowódzca zabronił mu wziąć udziału w hołdach, składanych cudzoziemskiemu okupantowi, a co najważniejsza, nie przyszły dzieci szkolne na katechizm, bo nauczyciele ich nie puścili na polecenie inspektora, który nie pozwolił przerywać lekcyj.

Cała ta sprawa „jest tak przykra — biada komunikat z ul. Miodowej — że nie chce się dać wiary“.

Pocieszcie się; gdzieindziej byłoby znacznie gorzej. Że w Zambrowie tylko na tem się skończyło, należy „chwalić boga“ i nie prowokować na przyszłość cierpliwości polskiego społeczeństwa, które, acz nieśmiało, też zaczyna—myśleć.

PORNOGRAFJA DLA RODZIN CHRZEŚCIJAŃSKICH. Ks. Charszewski, z tytułu prałat, z funkcyj zawodowy zwalczacz rozsądku i pornografji, odciął się w art. p. t. „Obrzezańcy, którzy obrzezują“, zamieszczonym w „*Dzienniku Kujawskim*“ (N-ry 156 i 157) „żydowi naturalnemu (mimo chrześcijańskiego imienia i polskiego nazwiska) p. Henrykowi Wrońskiemu“ za recenzję wypociny księdza prałata p.t. „Słońce szatana“ (W. P. Nr. 11). Ks. prałat tak dosłownie pisze:

Ostatnio Wolnomyśliciel Polski (czytaj zawsze: Żydowski) wystąpił w art. „Słońce i motyka“ przeciw mojemu „Słońcu Szatana“ (Nr. 11).

Sens jego jest ten, że to niby na karbidową lampkę nowej religji ateistycznej, jaką dr. Świeżawski zawiesił na złamanym dyszlu swego rozsądku, rzuciłem się z prostaczą motyką. Oczywiście, nie dosięgnąłem zawrotnych wyżyn złamanego dyszla — i „Bóg Rozsądek stoi nadal, jak stał", a raczej wisi, jak wisiał, całkiem, dzięki wolnej miłości, klapnięty (podkr. n.).

Brawo, księże prałacie! Nawet „pornograf" Boy takby nie napisał. Tu dodamy, że „Dziennik kujawski" (Inowrocław) jest pismem dla rodzin chrześcijańskich i skromnych panienek z poznańskiego, z tej dzielnicy miłości bożej i dobrych „obyczajów". Nic dziwnego, że dobiera sobie odpowiednich współpracowników.

Z ŻYCIA PROWINCJI. Warto jest — choćby od czasu do czasu — zajrzeć do któregoś z pism prowincjonalnych, aby się dowiedzieć, co słychać na naszych różnych głuchych wsiach. O ile prowincja interesuje się życiem stolicy i czyta jej pisma (głównie dzienniki), o tyle stolica, zajęta swemi sprawami, prowincjonalnych pism prawie nie czytuje.

Oto wpadł nam do ręki Nr. 23 „*Przeglądu łomżyńskiego*" niemal całkowicie poświęcony walce nauczycielstwa i postępowszego odłamu społeczeństwa z klerem. Czytamy tam, że ks. Szepietowski z Szumowa zabrania gospodyniom wiejskim należenia do „Koła gospodyń", uważając zapisanie się do niego za wyparcie się wiary ojców i wyrażenie zgody na nowe prawo małżeńskie z rozwodami. Następnie 18 nauczycieli Pow. Seminarjum Nauczycielskiego w Łomży, oświadcza publicznie, że przestaje uważać katechetę tegoż seminarjum, ks. Aleksandra Ładę za kolegę i podawać mu rękę za to, „że wprowadza destrukcję w pracę wychowawczą na terenie szkoły, różni nauczycielstwo z młodzieżą i kopie przepaść pomiędzy społeczeństwem a nauczycielstwem". Inny artykuł poddaje krytyce „orędzie" b-pa Łukomskiego (zob. W. P. Nr. 12 str. 372) i piętnuje tegoż biskupa za jawne namawianie młodzieży i starszych do nieposłuszeństwa państwu. Bajka wierszowana „Noc, dzień i świat" zbija argumenty „nocy", chcącej rządzić światem, który znów woli od „nocy" „dzień" wraz z jego światłem, pracą i postępem. Artykuł p. t. „Fanatyzm" zajmuje się dwoma kazaniami wspomnianego już ks. Łady, wymierzonemi przeciwko trykotom gimnastycznym i nauczycielstwu. Wreszcie „Kronika" zajęła się ponownie ks. Szepietowskim, który nie chciał pozwolić na niesienie chorągwi podczas procesji „bożego ciała" pewnej dziewoi, albowiem nie zapisała się do endeckiego Stow. Młodz. chrześcijańskiej. W rezultacie publiczność podzieliła się na dwa obozy, w kościele powstał tumult, i niemal walka o to, kto będzie niósł chorągiew. „Bunt" zlikwidował wezwany przez księdza policjant, odebrał chorągiew z rąk zbuntowanych i nakazał tłumowi wyjść z kościoła, wskutek czego procesja bożociałowa wcale się nie odbyła.

Tak, dobrze jest czasami zajrzeć do prasy prowincjonalnej. Jak widzimy walka z klerem i klerykalizmem wszędzie wre. Np. z „Polonji“ Korfantego dowiadujemy się, że na odbytym w Katowicach zjeździe Związku Nauczycielstwa Polskiego zapadły uchwały przeciwko katolickiemu charakterowi wychowania młodzieży.

JAKI STRÓJ NIE OBRAŻA PANA BOGA? Zastanawia się nad tem w *„Gazecie kościelnej“* (Nr. 23) ks. Bzowski znany już naszym czytelnikom z tego, że wyprosił z kościoła w Czarnym Dunajcu pewną panienkę, ubraną w strój narciarski. Rzecz się skończyła w sądzie, gdzie ksiądz musiał za karę przeprosić publicznie wypędzoną z kościoła gorszycielkę dewotek ks. Bzowskiego. Autor, powołując się na to, że „zdrowy rozum mówi, iż kobiety nie powinny przychodzić do kościoła w strojach sportowych“ — t. j. na ten sam rozum, który mówi, że celibat jest „świństwem“, a ksiądz ogłupiaczem i szkodnikiem, stwierdza wreszcie, iż strój sportowy męski nie obraża Pana Boga, ale tenże sam strój u niewiast Pana Boga obraża“. I mówi to tak, jakby z samym bogiem (który jest zmyśleniem) rozmawiał na ten temat przed paroma minutami.

WCIĄŻ IM ZA MAŁO. W tejże *„Gazecie kościelnej“* (Nr. 24) ks. Michał Sidor poddaje krytyce ustawę o przymusowych składkach kościelnych i oburza się na to, że ustawa wchodzi w życie d o p i e r o z a d w a l a t a, nie rozciąga się na wszystkich katolików, zamieszkałych w parafji, i pomija urzędników, emerytów, nauczycieli i wojskowych.

Od Administracji!

Do N-ru niniejszego załączamy czek Nr. 14200 i uprzejmie prosimy o przekazanie zaległości oraz należności za prenumeratę za b. kwartał.

Treść poprzedniego numeru:

PRENUMERATA WOLNOMYŚLICIELA POLSKIEGO:

rocznie	zł. 14.00	miesięcznie zł. 1.20
półrocznie	„ 7.00	zagranicą 2½ dol. rocznie
kwartalnie	„ 3.50	numer pojedyńczy 60 gr.

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Królewska 16, telefon 718-14.

Konto czek. P. K. O. 14200.

Redaktorka **Marja Jankowska**. — Wydawca **Spółdzielnia „Bez Dogmatu“**.

Zakłady Graficzne B. Pardecki i S-ka z o. o., Warszawa, Żelazna 56.